

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 988·— Marek, Półrocznie 1976·— Mk. Rocznie 3952·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 20 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 30·—, za wiersz petit. w części redakcyjn. 50 Mp. — Zamiejscowe o 50 %, zagraniczne o 100 % drożej.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. [illegible]

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: **Julian Bartoszewicz**

W Warszawie do nabycia wszędzie. **„Promień", Łódz, Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 80 Marek.

Rok XVIII. **Kraków, 31 grudnia 1921.** **Nr. 53.**

W przeddzień Nowego Roku 1922.



OD WYDAWNICTWA.

Z końcem roku 1921 kończy się także i *ośmnasty* rok naszego wydawnictwa. Rok ten był dla nas nad wyraz ciężki, cięższy może nawet i od czasów, gdy w naszem bezpośredniem sąsiedztwie szalała burza wojenna. Fatalne stosunki ekonomiczne i obniżenie wartości marki polskiej sprowadziły szaloną drożyznę, przedewszystkiem zaś artykułów, które nabywać się musi za granicą, gdyż nasz przemysł ich nie dostarcza. Do nich należą wszelkiego rodzaju utensilia, potrzebne przy wydawaniu pisma tego rodzaju, jak *Nowości Illustrowane*. Papier, farba drukarska, chemikalia i td. drożały prawie z dnia na dzień, należało się uważać szczęśliwym, jeśli udało się je nabyć na wagę złota u dostawców, regulujących ceny wedle swego widzimisię. Wynagrodzenia i płace personalu rosły też w miarę drożyzny, co razem z poprzedniem wziąwszy, spowodować musiało kilkakrotne podwyższenie cen za nasze pismo. Postępowaliśmy w tym kierunku bardzo oględnie, decydując się na zwyżkę prenumeraty w ostatecznej chwili, gdy nie było już innego wyjścia. Jako pismo bezpartyjne, nie posiadające jakichkolwiek subwencyi, ponadto pozbawieni prawie w zupełności ogłoszeń, uważanych w obecnych czasach przez naszych Kupców i Przemysłowców za „niepotrzebny wydatek“, zmuszeni byliśmy wzmagające się coraz bardziej wydatki pokrywać podnoszeniem cen abonamentu, w stosunku do innych wydawnictw bardzo umiarkowanem.

Trudności mnożyły się z dniem każdym, nie zapominaliśmy jednak nigdy o tem, że celem naszym, któremu wierni jesteśmy lat ośmnaście i pozostaniemy takimiż, dałby Bóg, jak najdłużej, jest służenie ogólnemu dobru przez dawanie Czytelnikom pożytecznej i przyjemnej lektury, illustrującej w krótkości najaktualniejsze wydarzenia bieżącej chwili. Zadaniu temu, jak nam się wydaje, odpowiedzieliśmy godnie, a jeśli tu i ówdzie napotykało się na jakoweś usterki, były one wynikiem obecnych nienormalnych stosunków, a nie naszej winy.

Obok materyału aktualnego był przedmiotem naszej troski i będzie nim i nadal odpowiedni dobór utworów literatury pięknej, zatem powieści, tak oryginalnych, jak tłómaczonych. Z pośród naszych staramy się przedewszystkiem popierać talenty młode, rokujące na przyszłość piękne nadzieje, co niewątpliwie poczytanem nam być powinno również za zasługę. Ułatwiając im wejście w świat, dajemy ogółowi Czytających sposobność zapoznania się z nimi, a nie należy zapominać, że i najjaśniejsze gwiazdy słabym początkowo tylko żarzyły się płomykiem.

W ciężkiej naszej pracy wydawniczej, w takich warunkach, jak obecne, otuchy i zachęty dodawało nam zawsze uznanie ze strony naszych P. T. Czytelników, z jakiem spotykaliśmy się na każdym kroku, a na które, przyznać się musimy szczerze, uczciwie i rzetelnie staraliśmy się zasłużyć.

Oto nasze sprawozdanie z działalności za rok ośmnasty naszego wydawnictwa, a zarazem program na następne lata.

Wydawnictwo „Nowości Illustrowanych“.

Nasza premia.

P. T. nowi Abonenci naszego pisma, o ile zaprenumerują je w **Centralnej Administracyi „Nowości Illustrowanych“, Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego L. 95.**, otrzymają b e z p ł a t n i e, jako premię:

1. kwartalni, ozdobnie oprawny **Kalendarzyk kieszonkowy** na rok 1922,

2. półroczni i całoroczni nadto i **Kalendarz tygodniowy biurkowy** na rok 1922.

Prenumerata *„Nowości Illustrowanych“* wynosi:

Kwartalnie . . 988 Mk.
Półrocznie . . 1976 „
Rocznie . . . . 3952 „

Na poleconą przesyłkę kalendarzy należy dołączyć **25** Mkp.

W przeddzień Nowego Roku 1922.

(Do illustracyi tytułowej).

Kalendarz zrządził, że ostatni tegoroczny 53. numer *Nowości Illustrowanych* jest właściwie noworocznym, opuszcza bowiem prasę drukarską z datą 31. grudnia, a w rękach części Czytelników znajdzie się w sam Nowy Rok, gdy natomiast na właściwy noworoczny trzeba czekać jeszcze cały tydzień.



Ustąpienie jenerała Niessela Dotychczasowy kierownik francuskiej Misyi Wojskowej w Polsce jen. Niessel.

Z tego powodu postanowiliśmy już w tym numerze złożyć naszym P. T. Czytelnikom życzenia, aby rok następny, 1922, był naprawdę lepszy od poprzednika, który niejednemu dał się porządnie we znaki. W następnym numerze, który rozpocznie rok nowy, dziewiętnasty naszego wydawnictwa, powtórzymy raz jeszcze te życzenia, aby nowi Prenumeratorzy nie mieli uzasadnionej do nas pretensyi, że o nich zapomniano.

Rok 1922. rozpoczniemy pod lepszą wróżbą, niż kończący się obecnie, a otuchy dodaje nam nadzieja poprawienia się przedewszystkiem naszych stosunków ekonomicznych, o ile oczywiście przeprowadzone zostaną konsekwentnie wszystkie środki zaradcze, mające na celu *salutem Reipublicae*. W pierwszym zatem rzędzie uregulowane muszą być nasze finanse, a do tego przyczynić się ma reforma skarbowa, projekt ministra Michalskiego. W dalszym ciągu należałoby sobie życzyć, aby raz nareszcie ucichły u nas waśni partyjne i ustało wzajemne kopanie dołków pod sobą, te dwie bowiem sprawy najbardziej obniżają nasze znaczenie i powagę u sąsiadów. Obecny Sejm Ustawodawczy ma przed sobą jeszcze kilka miesięcy życia, zatem dość czasu do rozwinięcia błogiej w skutki działalności, by naprawić złe, jakie dotąd wyrządził i nie pozostawić po sobie smutnego wspomnienia, że członkami jego kierowała prywata, że hasłem ich było *„partia“*, a nie *„Patria“*. Wówczas niejeden z nich będzie mógł stanąć śmiało podczas nowych wyborów, proponowanych na lato, przed swymi mocodawcami i powołać się na to, że zaufania, jakie w nim pokładali, nie zawiódł.

W roku 1922. czeka nas niejedna jeszcze trudność do zwalczenia, to bowiem, co było złe z gruntu, tak łatwo naprawić się nie da, zgodna współpraca wszystkich pozwoli przecież wyjść zwycięzko z fatalnej sytuacyi, w którą wpędziła nas nieopatrzna gospodarka bez oglądania się na jutro.

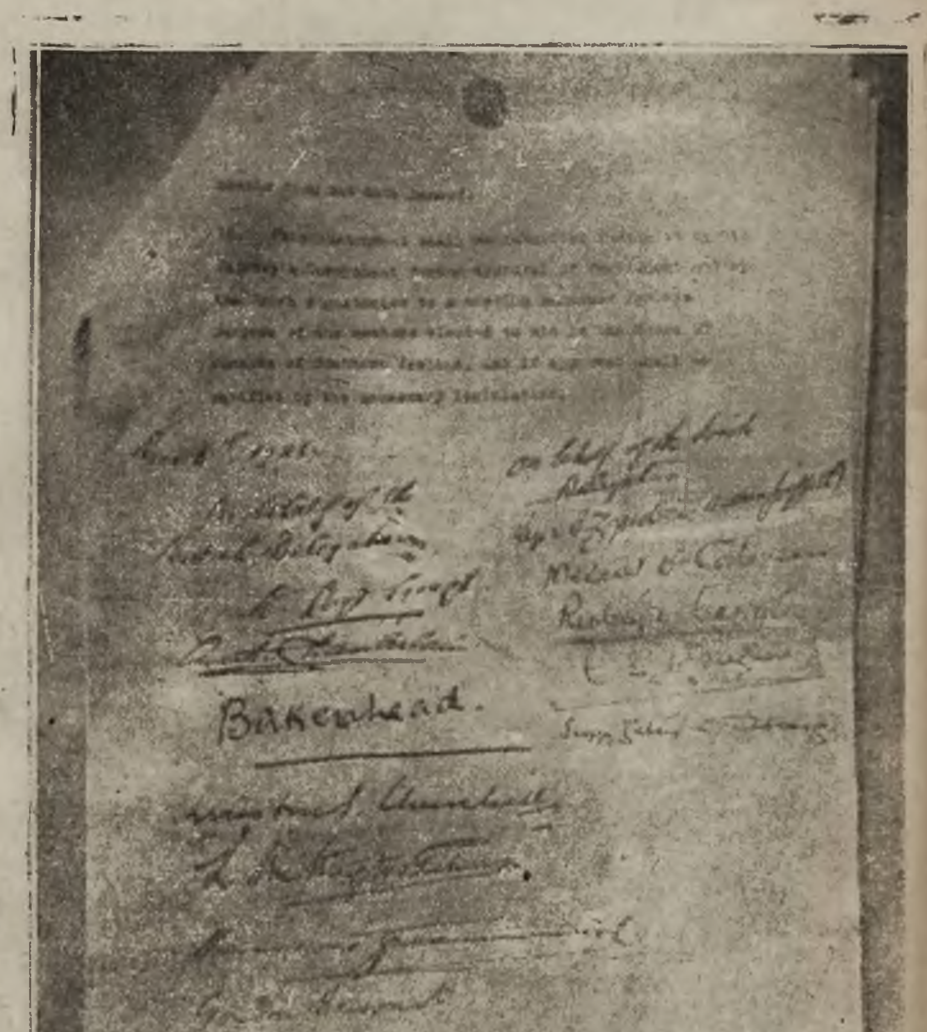
Ustąpienie jenerała Niessela.

Ustąpienie jenerała Niessela stało się faktem dokonanym. Dotychczasowy kierownik francuskiej Misyi wojskowej w Polsce, opuścił zajmowane dotąd stanowisko, na którem tyle zasług położył około rozwoju armii polskiej. Co było przyczyną ustąpienia tego wybitnego strategika i znawcy stosunków, zwłaszcza wschodnio-europejskich, w to nie wchodzimy, konstatujemy jedynie sam fakt, wyrażając równocześnie żal szczery, iż pozbawieni zostajemy wydatnej współpracy tego rodzaju przyjaciela naszego narodu, jakim był jenerał Niessel.

Pogłoski o jego ustąpieniu i powrocie do Francyi pojawiały się od dłuższego czasu, nie wierzono im jednak, sądząc, że Francya dołoży wszelkich starań, aby jenerała Niessela zatrzymać nadal na posterunku, którego zadaniu najzupełniej sprostał, a który nie tylko dla Polski, lecz także dla Francyi ma pierwszorzędne znaczenie.

Z ustępującym jenerałem, który potrafił sobie zdobyć niekłamaną sympatyę w najszerszych kołach naszego społeczeństwa, występując zawsze i wszędzie jako otwarty i śmiały obrońca naszych słusznych interesów, pożegnała się Warszawa uroczyście. Za zasługi, około rozwoju polskiej armii położone otrzymał jenerał Niessel krzyż orderu *Virtuti Militari* daleko przecież wyższem i trwalszem odznaczeniem wdzięczność i uznanie narodu polskiego i serdeczne wyrazy żalu za odjeżdżającym, które towarzyszyć mu będą w drodze do ojczyzny.

Następcą jenerała Niessela zamianowano jenerala Dupont'a dotychczasowego przewodniczącego międzysojuszniczej Komisyi dla wytyczenia granic na Górnym Śląsku. W ubiegłym tygodniu odbyło się w Szkole Sztabu jen. pożegnanie jen. Niessela i równoczesne przedstawienie jen. Dupont'a, który obejmuje stanowisko Szefa Wojskowej Misyi francus-



Dokument historyczny: Ostatnia karta z podpisami układu angielsko-irlandzkiego zawartego w Londynie w dniu 6 grudnia b. r.

kiej w Polsce. Pożegnalne przemówienie wygłosił jen. Zygadłowicz dowódca szkoły Sztabu Jeneralnego. Jen. Niessel odpowiedział po polsku, dziękując za wiele okazanej mu sympatyi tak ze strony słuchaczy jak i profesorów szkoły Sztabu Je·. oraz zapewnił obecnych, że wyniesie z Polski jaknajmilsze wspomnienia.

Odjazd jen. Niessela nastąpił w ostatnich dniach grudnia.

Dokument historyczny.

Wiekowy spór angielsko-irlandzki, który obie strony kosztował tyle łez i krwi, dobiegł, jak się zdaje, końca. Zaznaczamy wyraźnie „jak się zdaje“, część Irlandczyków z de Valerą na czele oświadcza się bowiem przeciw zawartemu na Downingstreet w Londynie układowi, uważając go za nieuwzględniający w pełnej mierze ich interesów narodowych.

W dniu 6 grudnia b. r. o godzinie trzeciej nad ranem dokonano w Londynie dzieła, mającego dla Anglii pierwszorzędne znaczenie, podpisano bowiem układ pokojowy między Anglią i Irlandyą, nadający tej ostatniej prawa dominium samodzielnego, na wzór Kanady, Australii, Południowej Afryki i td., wchodzącego w skład Wielkiej Brytanii. Układ ten był wynikiem długich, a nieraz bardzo namiętnie prowadzonych narad na Downingstreet, toczących się prawie przez dwa miesiące. Ze strony rządu angielskiego podpisali go: Lloyd George, Chamberlain, Birkerhead, Churchill, Worthingward, Greenwood, sir Gordon Heward, oraz sekretarze Johns i Curtis, jako delegaci Irlandczyków zaś Arthur Griffith, Michał Collins, Robert Barton, E. I. Duggan, Gavan Duffy i sekretarze Childers i Chartres.

W razie ratyfikowania układu przez oba parlamenty, angielski i południowo-irlandzki, zakończy się przykry spór, toczący się z górą lat sto dwadzieścia, a Lloyd George będzie mógł poszczycić się, że dokonał czynu o znaczeniu historycznem.

Irlandya uzyskuje na mocy układu ustrój dominium, na zasadach takich samych jak Kanada, najwyższą władzę imieniem rządu brytyjskiego wykonuje jeneralny gubernator, mający przy boku zamianowaną przez siebie radę przyboczną, *Privy council*, ustawodawstwo spoczywa zaś w rękach parlamentu, składającego się z Senatu i Izby Gmin. Członków Senatu mianuje jeneralny gubernator w liczbie 104, członkowie Izby Gmin wychodzą z powszechnych wyborów na lat pięć. Na zasadzie powyższej ustawy kanadyjskiej, pochodzącej z r. 1867 i w Irlandyi mają kobiety prawo wyboru i wybieralności.

Prezydent de Valera na zebraniu irlandzkiego parlamentu Dail Eireann, który na podstawie układu z Downingstreet ma stanowić ciało ustawodawcze dla Irlandyi na przeciąg pierwszych dwunastu miesięcy, wystąpił z wnioskiem odmówienia przyjęcia zawartej umowy, ponieważ nie przyznaje Irlandyi zupełnej samodzielności, członkowie rządu irlandzkiego natomiast, którzy ją w Londynie podpisali, są za jej przyjęciem, a na ich czele stoi Arthur Griffith. Również, o ile wierzyć można doniesieniom pism angielskich, większość i to znaczna narodu irlandzkiego jest za pokojem i porozumieniem z Anglią. Odrzucenie układu z dnia 6 grudnia przez irlandzki parlament musiałoby pociągnąć za sobą bardzo przykre skutki dla rządu angielskiego, w pierwszym rzędzie zaś spowodować ustąpienie Lloyd'a George'a, a w obecnych warunkach trudno byłoby znaleźć odpowiedniego następcę, który potrafiłby tak skomplikowane interesy angielskie należytą drogą poprowadzić. Co zaś ważniejsze, w Irlandyi wybuchłaby ponownie wojna domowa, dotychczasowe doświadczenie nauczyło zaś, że należy jej za wszelką cenę unikać.

W układzie z Irlandyą poszedł Lloyd George dalej, niż którykolwiek z angielskich polityków. Dano jej szerokie prawa samorządu, który jednak nie jest tak pełnym jak naprzykład w Australii, kompetencya bowiem jeneralnego gubernatora, jego rady przybocznej i mianowanego przezeń Senatu ogranicza w wysokim stopniu irlandzką autonomię. Inspirowana przez Anglię prasa zagraniczna rozwodzi się szeroko nad „daleko idącemi ustępstwami“ dla Irlandczyków, gdy one natomiast, przy głębszem rozpatrzeniu się, przedstawiają się dość iluzorycznie. W każdym razie Lloyd George złożył jeden dowód więcej, że polityka, to jego zawód, na którym zna się i umie go umiejętnie prowadzić.



Nad mogiłą Autorki „Moralności pani Dulskiej“: Zwłoki śp. Gabryeli Snieżko Zapolskiej na katafalku.
Fot. M. Münz Lwów.

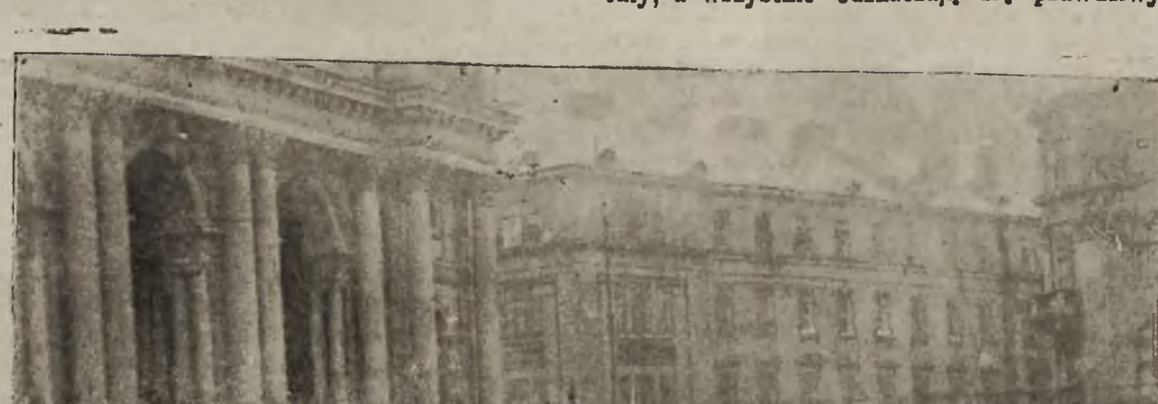
Nad mogiłą Autorki „Moralności pani Dulskiej“.

We Lwowie zmarła w ubiegłym tygodniu śp. Gabryela Zapolska, znana szeroko, nie tylko u nas w kraju, ale i poza jego granicami, autorka, zapisana bardzo chlubnie w dziejach naszej literatury pięknej, tak w zakresie powieści, jak i dramatu. Pozatem zbierała śp. Zapolska swojego czasu laury sceniczne, jako artystka dramatyczna, początkowo na scenach prowincyonalnych, później w Poznaniu, Krakowie i Lwowie, prowadziła szkołę dramatyczną, oddawała się też pracy dziennikarskiej, a jej felietony i sprawozdania teatralne, pisane ze znajomością rzeczy i prawdziwie literacką rutyną, zyskały sobie zasłużone uznanie.



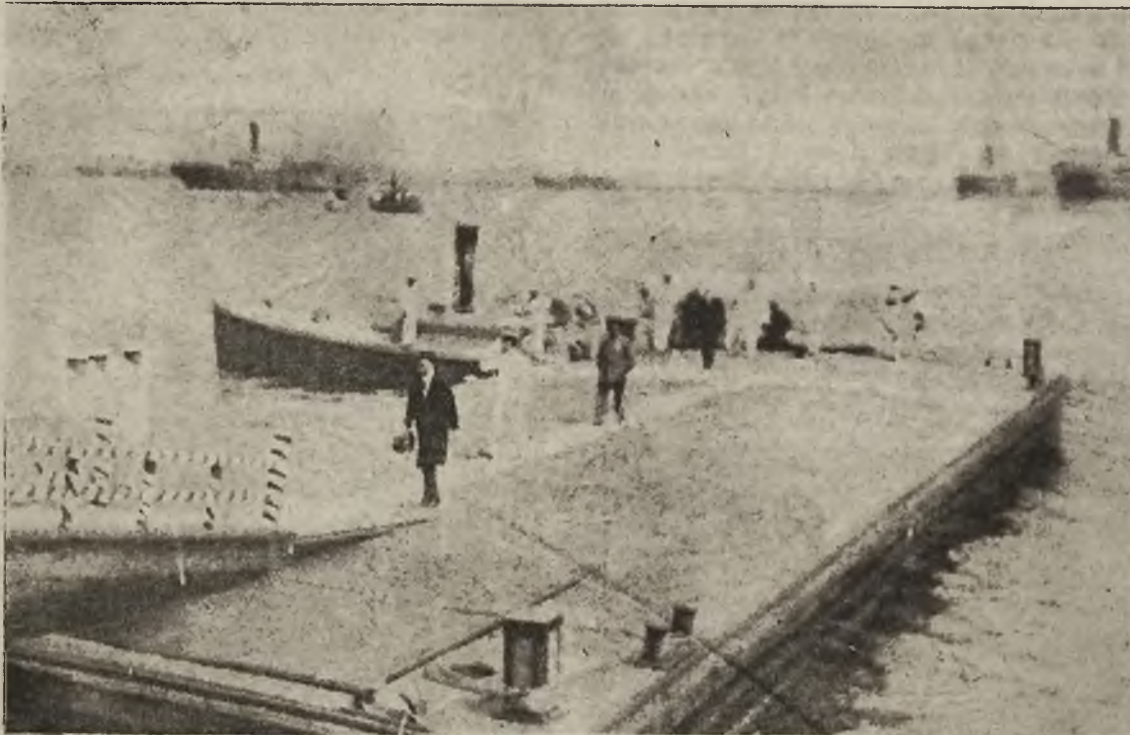
Nad mogiłą Autorki „Moralności pani Dulskiej“: Śp. Gabryela Snieżko Zapolska

Gdyby przyszło scharakteryzować działalność literacką śp. Zapolskiej i orzec, czy na polu powieści, czy dramatu położyła większe zasługi, rozstrzygnięcie byłoby bardzo trudne, w jednym bowiem i drugim zakresie rozwinęła nadzwyczaj żywą działalność, a tak niektóre z jej powieści, jak i sztuk teatralnych zdobyły sobie ogromną i zasłużoną popularność. Jest ich tyle, że trudno wyliczyć ich tytuły, a wszystkie odznaczają się prawdziwym ta-



Nad mogiłą Autorki „Moralności pani Dulskiej“: Orszak pogrzebowy przed Teatrem Wielkim we Lwowie.
Fot. M. Münz. Lwów.

lentem pisarskim i głęboką znajomością stosunków i duszy ludzkiej. Jej „Małka Szwartzenkopf", „Jojne



Powrót księcia Hirohito do ojczyzny: Książę Hirohito po opuszczeniu okrętu wojennego, na którym przybył z Europy, w porcie Jokohamy.

Firulkes", „Kobieta bez skazy", obiegły w tryumfie wszystkie sceny polskie, dostały się i za zagranicę, tak samo jej utwory dramatyczne wydane pod pseudonimem Józefa Maskoffa, w szczególności zaś „Tamten". Z pomiędzy jej nowel i powieści niektóre cieszyły się ogromną popularnością, przykuwając uwagę czytelnika do ostatniej stronicy, niejednego rażąc zbyt daleko może posuniętym realizmem, cechującym autorów nowszej szkoły. Na pierwszy plan wybijają się tutaj między innemi: „Kaśka Karyatyda", „Wodzirej", „Córka Tuśki", „Fin-de sieclistka", „Sezonowa miłość", „O czem się nie mówi", Pani Dulska przed sądem", „Rajski ptak" i td. Wielką poczytnością cieszył się też w swoim czasie „Pan policmajster Tagajew", powieść malująca w bardzo dosadnych kolorach nieszczęsne stosunki, wywołane przez rosyjskie czynownictwo w byłej Kongresówce.

Na niwie literackiej i dziennikarskiej pracowała śp. Zapolska niemal do ostatniej chwili, pomimo poważnego już wieku i ciężkiej niemocy, która ostatecznie położyła kres jej czynnemu życiu.

Rodowe jej nazwisko było Piotrowska. Przyszła na świat w r. 1859 jako córka marszałka szlachty powiatu łuckiego. Nauki ukończyła we Lwowie, poczem, powróciwszy do domu rodzicielskiego wyszła zamąż za p. Śnieżkę, obywatela ziemskiego. Po krótkiem z nim pożyciu wstępuje na scenę, aby odtąd jej i literaturze stale się poświęcić. Po raz drugi wchodzi w związki małżeńskie w r. 1901 z artystą malarzem St. Janowskim. Ostatnie lata swojego życia spędziła śp. Zapolska we Lwowie.

Pogrzeb śp. Gabryeli Zapolskiej pomimo niepogody przybrał rozmiary niepowszednie. Tłumny udział w nim licznych delegacyi i instytucyi, jak i szerokich sfer miejscowego obywatelstwa nadał mu też cechy wyjątkowe. Przed Teatrem przemawiał dyr. Czarnowski oraz artysta Barwiński, poczem chór teatralny i orkiestra wykonały utwory żałobne. Nad grobem żegnali zmarłą słuchacze Uniwersytetu lwowskiego, Polak i Jugosłowianin, a imieniem szkoły dramatycznej Cz. Krzyżanowski.

Powrót ks. Hirohito do ojczyzny.

Następca tronu japońskiego, ks. Hirohito Michinomiya, powrócił szczęśliwie do ojczyzny po ukończeniu swej podróży na Zachód. Podróż ta, o której wspominaliśmy w naszem piśmie kilkakrotnie, dała powód w Japonii do wielkiego niezadowolenia w sferach tamtejszej, bardzo konserwatywnie usposobionej ludności, sprzeciwia się bowiem tradycyom narodowym, aby władca kraju „kwitnącej wiśni i wschodzącego słońca" opuszczał kraj rodzinny. Nie jest to jednak pierwszy wyłom w tradycyach japońskich, coś podobnego zdarzyło się już w roku 1907, gdy ówczesny następca tronu wybrał się do Korei, która po wojnie rosyjsko-japońskiej weszła w skład japońskiego imperyum.

O ile zatem wyjazd ks. Hirohito przyjęto do wiadomości z niechęcią, o tyle, pogodziwszy się z faktem dokonanym, powracającego szczęśliwie do kraju po odbyciu długiej podróży, witano owacyjnie i nad wyraz serdecznie. Powrót jego rychły był także i dlatego bardzo pożądany, iż obecny mikado zapadł poważnie na zdrowiu, książę następca tronu objął też natychmiast zastępstwo swego ojca i on już przyjmował na specyalnej audyencyi naszego posła Patka, gdy tenże składał w Tokio swe listy uwierzytelniające.

Celem powitania wracającego do kraju, zjawiło się w Jokohamie pięciu ministrów z prezydentem gabinetu na czele. Tak tutaj, jak i w dalszym ciągu podróży do stolicy, był ks. Hirohito przedmiotem nieustannych owacyi, któremi Japończycy dawali wyraz nie tylko radości z powodu jego szczęśliwego powrotu, lecz także swej lojalności wobec domu panującego, nigdzie bowiem na świecie idee monarchistyczne nie są tak silnie zakorzenione, jak właśnie w Japonii, gdzie mikado uważany jest za istotę wyższą i otaczany należną jej czcią, którą wszcze-



Powrót księcia Hirohito do ojczyzny: Ministrowie z prezydentem Harą (zamordowanym w kilka dni później) oczekują przybycia księcia Hirohito na dworcu w Jokohamie.





Powrót księcia Hirohito do ojczyzny: 1) Korowód z lampionami przed pałacem Takanawa rezydencyą następcy tronu, urządzony przez studentów z okazyi jego powrotu. 2) W kaplicy poświęconej pamięci cesarza Meiji, dziewice z arystokracyi podczas mistycznego obchodu na podziękowanie szczęśliwego powrotu księcia.

IRENE BURES.

Zil=X...

Tłómaczyła z francuskiego MARYA SEGENY.

6)

A sprzeciwiać się mu nie chciałem i nie mogłem. Dziwna powaga i władza wydzielała się z tego małego, chudego człowieka, zachowującego się zawsze z taką energią i taktem. I kiedy pomyślę o władzy i wrażeniu jakie wywierał na obecnych, wierzyć nie mogę, żeby zginął w walce z jakim ściganym zbrodniarzem. I teraz, kiedy siedzę przy biurku swojem zajęty pisaniem, mam ciągle wrażenie, że drzwi się nagle otworzą, Dalton wejdzie, usiądzie bez słowa w fotelu i zapali papierosa.

Włóczęga.

Kiedy więc oddałem notatkę w redakcyi, wyszedłem prędko i wskoczyłem do automobilu. Ale zdziwiony zostałem, kiedy poznałem, że szofer kieruje się inną stroną niż Raney.

Dalton był mi powiedział:

— Automobil odprowadzi cię tutaj:

Uważałem więc za zbyteczne informować szofera co do powrotnej mojej drogi. Ale teraz widziałem, że źle uczyniłem, spuściłem więc szybę i zawołałem:

— Proszę natychmiast wracać do Rainey!

— Niech pan tak nie krzyczy głośno — odpowiedział, spokojnie szofer. — Mamy jeszcze czas powracać do Rainey!

— Gdzież mnie wieziecie?

— Do pana.

— W tej chwili policyant jakiś ruchem ręki wstrzymał automobil. Szofer pochylił się lekko i wyrzekł półgłosem.

— Jadą za nami. Zawiozę więc pana na ulicę Assas. Tam, zapłaci mnie pan i wejdzie do siebie. Ten, który nas goni będzie chciał z panem mówić i zadzwoni do pana mieszkania. Na pierwszy dźwięk dzwonka wyskoczy pan oknem na ulicę i pobiegnie do pierwszej kawiarni na rogu. Tam zaczeka pan na mnie.

Zrozumiawszy każde słowo odpowiedziałem: „Dobrze" i natychmiast patrzeć zacząłem przez tylne okienko pojazdu. Ujrzałem rzeczywiście jakiś automobil, który nas ścigał.

W kilka chwil później znaleźliśmy się na ulicy Assas.

Zeskoczyłem prędko, podałem srebrną monetę szoferowi, który ją wziął i udał, że mi wraca jakieś drobne pieniądze. Ale równocześnie wcisnął mi do ręki maleńki kluczyk. Wszedłem do domu, otworzyłem drzwi kluczykiem i czekałem.

Prawie natychmiast rozległ się dźwięk dzwonka.

Wówczas pobiegłem do okna i z łatwością przeszkoczyłem je. Pobiegłem potem do kawiarni na rogu tak, jak mi wskazał szofer i ukryty za rozłożonym dziennikiem czekałem na jego przybycie.

Po upływie piętnastu minut szofer mój nadjechał wsiadłem więc i pospieszyliśmy do Rainey. Ku mojemu zdziwieniu szofer nie podwiózł mnie do willi. tylko na róg ulicy, do jakiejś restauracyi maleńkiej gdzie znalazłem Daltona zajadającego z apetytem.

— I cóż? — zapytał mnie ledwie usiadłem przy nim, w małej odosobnionej salce.

— Oddałem notatkę. Ale przybywam trochę późno bo ścigano nas.

W krótkich słowach opowiedziałem mu zajście.

— To prawdopodobnie reporter z „Burzy" — odpowiedział Dalton. — Nie mogąc znaleźć mordercy, chciałby w swej ręce trzymać choćby detektywa. Służący mój kazał ci czekać w kawiarni na rogu. bo tam nie zaglądają nigdy dziennikarze. Niema tam telefonu.

— Ale gdyby byli gonili za nim?

— Nie goni się nigdy pustego automobilu. Gdyby tak się stało, szofer udaje się do pierwszego postoju i tam go nikt już nie rozezna.

— Cobądź „Burza" zna teraz twój adres.

— Phi! Dziś, czy jutro — niedbale wyrzekł Dalton — Czy to nie wszystko jedno.

W pół godziny później wyszliśmy z restauracyi.

— Uczynię ci jedną uwagę — odezwał się Dalton. — Jeżeli będziesz zmuszony mówić do mnie, mów tylko rzeczy najpotrzebniejsze. Jeżeli zaś możesz zamilknąć, lepiej stokroć będzie.

Szliśmy więc w milczeniu przez długą ulicę przyozdobioną z obydwu stron ładnemi willami. Spostrzegłem w końcu, że domy stają się coraz rzadsze. Wkrótce znaleźliśmy się poza Rainey, na drodze. Po jakimś czasie dostrzegliśmy hangar a przy nim niewielki pawilon. Odgadłem, że musi to być miejsce zamieszkania Jerzego Dambleusa, awiatora. Pawilon ten stał samotnie, pośród pól. Otaczał go wokoło mur średniej wysokości. Hangar przylegał do muru, pawilon zas wznosił się o jakie sto metrów od bramy wejściowej.

Po drugiej stronie drogi był krzak gęsty bardzo i rozłożysty. Poszliśmy się tam ukryć. Dalton milczał zawzięcie, a ja również starałem się go naśladować. Jak dwa nieruchome cienie, czekaliśmy z godzinę w gąszczu krzaka. Nagle, usłyszeliśmy głuchy łoskot zamykających się drewnianych drzwi — potem dobiegł nas dźwięk czysty i donośny i w końcu furtka ogrodu zgrzytnęła na zawiasach. Ten, który je otwierał czynił to z wielką ostrożnością bo zgrzyt się przedłużał stłumiony.

Nakoniec na drodze rozległy się powolne uderzenia kopyt końskich.

Pochyliłem się, starając się dojrzeć, nie będąc odkrytym, co się dzieje na drodze.

Dostrzegłem człowieka prowadzącego konia za uzdę. Zamknął furtkę z wielkim staraniem, wskoczył na siodło i odjechał powoli. Lecz po upływie dwu minut dobiegł nas tentent galopującego konia.

— Teraz mamy parę chwil wolności — wyszeptał nareszcie — Dalton. Nie sądzę, aby o tej porze pan Jerzy Dambleuse wyjechał tylko na krótką przechadzkę.

— Czy jesteś pewnym, że to był Jerzy Dambleuse? — zapytałem.

— Oh! — w zupełności!

— Najwidoczniej pragnął zachować się cicho.

— Oh! to nie dla nas. I także nie dla mieszkańców Rainey, którzyby nie mogli dosłyszeć ze swoich domów zgrzytu furtki, ani tententu konia. Ta ostrożność zachowaną była dla kogoś, który się obecnie znajduje w pawilonie. A ja się już upewniłem. Jedna tylko osoba znajduje się w pawilonie — służący.

— Służący?

— Tak. Jerzy Dambleuse nie życzy sobie aby służący jego wiedział, iż tej nocy wyjeżdżał na koniu. Ah! mruknął Dalton. Nie bardzo to przyjemnie siedzieć będzie za tym krzakiem przez dwie godziny. Tak, mój kochany. Najmniej dwie godziny. Jedna miejscowść gdzie prawdopodobnie udaje się Jerzy Dambleuse, znajduje się o czternaście kilometrów stąd, a druga o piętnaście. Koń jego jego jest dobry. Ale nie zrobi więcej jak piętnaście kilometrów na godzinę. Trzeba także doliczyć jego zatrzymanie się tam.

Umilkł na chwilę i znowu mówił dalej.

— Czy zatrzyma się tam krótko, czy dłużej? Oto co bym bardzo chciał wiedzieć.

Spojrzał na zegarek i mruknął:

— Jest dziesiąta godzina. Musimy tu czekać do północy. Czy chce ci się spać?

Odpowiedziałem, że wcale nie byłem jeszcze senny. Rzeczywiście umysł mój był zaprzątnięty tajemnicami tej nocy, że sen był odemnie bardzo daleki.

— Doskonale — odparł Dalton. — W takim razie ja zasnę. Ty pilnuj drogi. O północy, jeżeli dotąd nie wydarzy się nic nowego, obudzisz mnie.

— Dobrze.

Wyciągnął się na trawie i wkrótce zasnął głęboko. Ja zaś siedziałem bez poruszenia. Po upływie godziny może dosłyszałem kroki na drodze. Wychyliłem się z krzaków i zobaczyłem starego człowieka, pochylonego nisko, w łachmanach na grzbiecie. Zatrzymał się przed domem, usiadł pod murem i zdjął torbę. którą miał zawieszoną na szyji. Wyjął z niej coś, czego dobrze dostrzec nie mogłem — zapewne kawałek chleba. i jeść zaczął. Skończywszy wyciągnął się na ziemi i zasnął.

Obserwowałem skrupulatnie wszystkie jego ruchy. Lecz nie uznałem za potrzebne budzić Daltona, że jakiś włóczęga śpi pod murem pawilonu na publicznej drodze.

Nic się nie poruszało wokoło nas. Nawet wiatr najlżejszy nie poruszał liśćmi krzaka, pod którym byliśmy ukryci.

Czas upływał w niezmąconej niczem ciszy. To czuwanie bezowocne sprzykrzyło mi się w końcu. Zapomniałem o tajemniczej sprawie senatora Poivrer i myśleć zacząłem o swoim spokojnym sypialnym pokoju, oświetlonym jedną dyskretną lampką. I pomyślałem także o niepokoju mojego służącego, którego długa moja nieobecność niemało dziwić musiała.

Nagle usłyszałem jakiś szmer w oddali. Po krótkim czasie rozpoznałem, że to tentent konia. Wyciągnąłem zegarek i z trudem dopatrzyłem się kierunku wskazówek. Było dziesięć minut po północy. Dotknąłem więc lekko Daltona, który się natychmiast obudził. Chciał mówić. Ruchem ręki nakazałem mu milczenie i pochylając się ku niemu szepnąłem.

— Ostrożnie! jakiś włóczęga jest na drodze.

Dalton wyprostował się nie czyniąc najmniejszego szelestu i ukląkł za krzakiem. Wkrótce na drodze ujrzeliśmy jeźdźca. Koń szedł stępa, przed bramą zatrzymał się.

Jeździec zeskoczył i ostrożnie otworzywszy furtkę, wprowadził konia.

Przeczekaliśmy jeszcze kilka minut. Tak jak przedtem drzwi jakieś zawarły się z trzaskiem i zaległa cisza. Nagle włóczęga, który dotąd zdawał się drzemać, powstał, podszedł do furtki i szybko uchwyciwszy się żelaznych prętów, drapać się do góry zaczął.

I równocześnie prawie rozległ się przy mnie szelest gniecionych traw i Dalton jak piłka skoczył naprzód, na drogę, uchwycił włóczęgę wpół ciała ciągnąc go z całej siły ku ziemi. Włóczęga z okrzykiem bólu puścił żelazne pręty i upadł. Dalton już siedział na nim i owijając twarz nieznajomego workiem, silnie wiązał jego ręce i nogi. Stało się to tak szybko, że zaledwie doskoczyłem do niego cała operacya była już prawie gotowa.

Biały arab.

Kiedy włóczęga znalazł się w stanie zupełnej bezwładności i przez dobrze związany worek pozwolić sobie tylko mógł na kilka głuchych mruknięć Dalton ujął go pod ramiona, ja zaś za nogi i przenieśliśmy go za krzak, który był punktem naszej obserwacyi.

Nie wyrzekliśmy ani słowa. Po złożeniu jednak naszego ciężaru Dalton pociągnął mnie na drogę szepcąc cicho:

— Chodź za mną.

Skierował się ku furtce i w ten sam sposób jak włóczęga uchwycił się szczebli. W kilku sekundach znajdował się po tamtej stronie w ogrodu.

Wówczas i ja szybko uczyniłem to samo.

Dalton schylił się i szedł ku małemu budynkowi, który musiał być stajnią. Naśladując we wszystkiem ruchy mojego przyjaciela, przyczołgałem się także do stajni. W pawilonie wszystkie okna były ciemne i zamknięte. Długą chwilę Dalton męczył się nad otworzeniem drzwi; ustąpiły w końcu.

Było tak ciemno, że absolutnie nic rozróżnić nie mogłem. Dalton jednak zapalił nagle małą elektryczną lampkę i prosto bez wahania podszedł do stali, gdzie stał koń skubiący siano.

Było to piękne zwierzę, arabka czystej rasy, nieduża lecz silna o cienkich pocinach i wielkiem, mądrem oku. Przybliżyłem się. Koń był cały mokry od potu, piana płatami spływała z jego pyska, a nogi jego drżały silnie ze zmęczenia.

Dalton starannie obejrzał zwierzę — poczem zgasił nagle latarkę i szepnął:

— Wyjdźmy!

Przedostaliśmy się znowu przez żelazną furtkę na drogę. ale zaledwie dotknąłem nogą ziemi, kiedy rozległo się donośne rżenie i tentent galopującego konia. Koń wypuszczony ze stajni biegał po ogrodzie, jakgdyby za jakimś śladem:

Równocześnie otwarło się jedno z okien pawilonu i kroki jakieś zazgrzypiały po żwirze alei. Ktoś szedł. Prędko przypadaliśmy pod mur, ukrywając się jak można było najlepiej.

Po chwili dobiegł nas głos zirytowany:

— Ah! ty bestyo! Znowu się urwałaś? co? Chodź tu. Chodź tu zaraz... słyszysz...

Krótkie milczenie i znowu ten sam głos zdziwiony.

— Ah! cóż to znowu? Gdzieżeś ty latała żeby się tak spocić! Cała mokra szelma! Stoisz ty! stoisz!

Na głos ten rozwarło się drugie okno pawilonu i inny głos zawołał:

— Co tam Izydorze!?

— Proszę pana, to bułanka znowu się urwała!

Ciąg dalszy nastąpi).

LEON GOZLAN.

AMATOR

4)

— Wasza Eminencya powraca do tego samego wachania, do tych pół słów pochwalnych, które przynajmniej tyle robią złego, ile dobra, chociaż ostra krytyka. Niech wasza Eminencya zechce wybaczyć, że do niej z taką wolnością się odzywam, tu tylko jest amator wobec amatora. Pan posiadasz zbiór obrazów flamandzkich; ale czyż mój nie jest większy od pańskiego?

— Zapewne panie kawalerze.

— Czyż moje obrazy nie są tej samej wartości co i pańskie?

— Tej samej panie kawalerze, tej samej.

— A więc wasza Eminencyo, cóżby?...

— Podróżowałem we Włoszech — mówił spokojnie kardynał, podczas kiedy pan siedziałeś w Holandyi.

— A... pan podróżowałeś we Włoszech... zapewne z religijnych jakich powodów.

— Owszem, z malarskich panie kawalarze. To też panie od czasu tej podróży moja namiętność do malarzy flamandzkich ogromnie się zmniejszyła.

— Pan? który tak się kochałeś w malarzch flamandzkich.

— Za wiele może. Pan Bóg mnie ukarał za to. Nie trzeba za bardzo kochać się w ziemskich rzeczach.

— Szkoła flamandzka jest więcej niż ziemska rzecz, nie można jej za bardzo kochać, wasza Eminencyo!

Kardynał wznosząc ręce, zawołał:

— O ziemio włoska! ziemio włoska! ojczyzno malarzy!...

— Ależ Flamandczykowie?

— Ziemio malarzy wielkiej maniery!...

— Ależ Flamandczykowie?

— Malarzy poprawnego rysunku!...

— Ależ Flamandczykowie, flamandczykowie Wasza Eminencyo?

— Miałem ich dwudziestu, kawalerze.

— Wiem o tem, wasza Eminencyo.

— To było wiele, było za wiele może. Od tego czasu widziałem: Guida, Veronesa, Leonarda da Vinci, Corregi'a, Alban'a.

— Ależ Flamandczycy, wasza Eminencyo.

— Flamandczykowie! flamandczykowie! Przekonałem się nareszcie, jak słusznem było zdanie Ludwika XIV go, człowieka z gustem, który widząc Teniersów, rzekł: „Weźcie mi z przed oczu tę chińszczyznę".

— Chińszczyznę!... Ludwik XIV dał takie nazwanie malarzom flamandzkim?...

— Tak... i najlepszemu z malarzy flamandzkich, bo Teniersowi. Wierzaj mi kawalarze, Ludwik XIV miał słuszność: Flamandczykowie nudzą mnie, mordują. Kto z nich jednego widział, ten już wszystkich poznał.

— Eminencyo! — zawołał kawaler Dardennes, przyprowadzony do ostateczności, chociaż jego rozpaczliwy wykrzyk nie przeszkodził kardynałowi tak dalej mówić:

— Któż z amatorów, trochę więcej wytrawnych, ośmieliłby się okazywać gabinet utworzony z samych obrazów flamandzkich, nie przegrodziwszy je włoskiemi, które są najpierwszemi arcydziełami świata. Byłoby to zapełnić piwnicę piwnicę piwem, wysortowawszy z niej Bordeaux, szampańskie i Tokaj. Chińszczyzna, chińszczyzna, chińszczyzna, ta cała szkoła flamandzka.

Kawaler stracił już całą swoją krew:

— Panie kardynale — rzekł — zapominasz się pan, że będąc u mnie, jesteś we Flandryi, i że...

— Chińszczyzna, chińszczyzna — pomrukiwał ciągle kardynał, wsiadając do pojazdu. A odjeżdżając wołał jeszcze na kawalera:

— Panie Dardennes, wspomnisz jeszcze moje słowa i przyznasz sam, że to chińszczyzna.

— A ja — pomyślał sobie kawaler, kiedy już sam pozostał — a ja narażałem się na zarazę morową, burze morskie, kuchnię z masłem i prawnuczki Mierysa, na śledzie smażone i dowcipy holenderskie, żeby zaopatrzyć się w dwieście obrazów flamandzkich. A tu taki kardynał tak o nich śmie mówić.

Nikt nie jest tak wrażliwym, jak amator starych obrazów. Jest on gatunkiem poety. Dajcie mu poklask, będzie sądził, że jego dzieło jest doskonałością, zgańcie go, będzie myślał o utopieniu się z rozpaczy.

Trzeba także dodać, iż zdanie takiego człowieka, jak kardynał Temporani, było aktem wiary dla kawalera, który nazajutrz ze swojej strony mógł był wypłatać podobną sztuczkę, niwecząc przekonanie innego jakiego amatora obrazów. Ale kawaler był za dobrodusznym na to. Jakiż interes? zapyta ktoś, mógł mieć kardynał, żeby tak obrzydzić kawalerowi Dardennes galeryę z takim trudem zebraną. Jakiż interes? Trzeba chybaby nigdy nie mieć chęci do nabycia takiej ciekawości, nie znać alfabetu amatorstwa starych rzeczy, nie mieć żadnych stosunków z jakim właścicielem starych obrazów, żeby nie wiedzieć, że takiemu człowiekowi mniej daleko chodzi o swoją własną korzyść, jak o wyświadczenie krzywdy koledze. Temporani miał dwa cele, odbierając kawalerowi Dardennes całe złudzenie co do jego galeryi, pierwszy, żeby go ogołocić z tych przepysznych obrazów flamandzkich, których on, kardynał Temporani, nie posiadał ani w takiej ilości, ani doborze; drugi, żeby mu nastręczyć zamiar zastąpienia ich przez obrazy szkoły włoskiej, co musiało być połączone z niesłychanemi trudnościami.

Miesiąc po widzeniu się z kardynałem Temporani kawaler Dardennes ogłaszał sprzedaż swoich obrazów flamandrkich, na których pół na pół stracił.

Marzył już tylko o Włochach, Michale Aniele, Rafaelu, Carlo Dolci, Veronezie i Corregiu. Ale Ale cóż znaczyło mizerne 200.000 franków, było to owe pół ceny, które odebrał za swoją galeryę, aby wejść w zapasy ze szkołą włoską? — Muszę mieć przynajmniej drugie tyle — pomyślał sobie. Nie sprzedawał on wprawdzie odrazu zamku swoich przodków, żeby uzyskać owe dodatkowe 200.000 franków, nie sprzedał tego zamku, którego zachowanie ojciec na łożu śmiertelnem ostatnią wolą mu nakazał, ale zapożyczył 200.000 franków na tę świętą nieruchomość. W kilka miesięcy potem opuszczał znowu Francyę, ale smutny, niedowierzający, zasępiony tym razem; opuszczał swój kraj jako szuler, a nie jako kochanek. Wsiadłszy na okręt w Marsylii, popłynął do Liworno.

Była to więc druga podróż naszego bohatera, której celem było wyszukiwanie arcydzieł szkoły włoskiej, ale nie był to już ów młody człowiek, który wyjeżdżał z Marsylii do Antwerpii, z sercem przepełnionem złudzeniami i poezyą. Wszystkie jego złudzenia znikły, skoro się dowiedział, że to właśnie kardynał Temporani nabył od niego po tak zniżonej cenie owe obrazy flamandzkie, do których sprzedaży sam go namówił. Nie było szlachetnie jak na kardynała, ale tutaj amatora słowo przeważało czyż on sam, on, kawaler Dardennes, nie uda się kiedy do takich podstępów i przewrotności? Któż może przyszłość przewidzieć?

Genua, Neapol, Wenecya zajęły wkrótce całkowicie umysł naszego bohatera. Przyznał nareszcie, że kardynał miał cokolwiek słuszności, wynosząc tak pod obłoki szkołę włoską, ale jednak nieraz zdarzało mu się szemrać potajemnie: „Gdzie wy teraz moje poczciwe flamandzkie oryginały".

Jeżeli nie spotkał tutaj na swojej drodze, tak jak za przybyciem do Antwerpii, potomków Giotta, Perugina, Michała Anioła, to za to jakiś go zamęt ogarnął, kiedy zaczął, stanąwszy u celu podróży, skupowanie obrazów wszystkich trzech szkół włoskich, bo musiał ciągle błądzić wahając się pomiędzy różnorodnemi zdaniami artystów, największych nieuków w świecie, kiedy idzie o naznaczenie nazwiska autora jakiego starego obrazu i kramarzy obrazów, największych oszukańców na całej kuli ziemskiej.

— Czyj to obraz?

Odpowiadano mu:

Rafaela pierwszej maniery.

— A ten?

— Rafaela drugiej maniery.

— A ta Madonna niedokończona?

— Rafaela przed poznaniem się jego z Michałem Aniołem.

— A ten *bambino*.

— Rafaela po poznaniu się z Michałem Aniołem.

Wszystko to nie mogło się pomieścić w głowie biednego kawalera, który ciągle wykrzykiwał: „A cóż to za dziwny kraj, w którym wszystkie obrazy są Rafaela, co nawet czterdziestu lat nie dożył".

Tak jednak wszyscy sprzedający utrzymywali. Jeżeli zaś radził się artystów o prawdziwą wartość obrazów, żeby sobie sprawiedliwy sąd o nich wyrobić, odpowiadano mu: „Ten Rafael wart jest sześć franków, ten ma zaledwie wartość płótna, na którem jest malowany, a tamten tej nawet wartości niema".

Przez całe dziesięć lat musiał tylko ciągle słuchać tych zdań przeciwnych sobie, które go o mało co do pomieszania zmysłów nie przywiodły. Powtarzamy przez *lat dziesięć*, a to dlatego, żeby każdy mógł się przekonać, jak zupełnie namiętność, jakiej kawaler Dardennes był oddany, zajmuje życie człowieka. W sercu takich ludzi niema już żadnego kątka ani dla ambicyi, ani dla przyjaźni, ani dla miłości. Trawią oni noce na czytaniu spisów sprzedawanych rzeczy, a dni na bieganiu po licytacyach.

Nareszcie szczęście zabłysło naszemu bohaterowi.

Margrabina Mateo umarła w Wenecyi, nie zostawiwszy po sobie żadnych krewnych; jedynym jej dziedzicem był jakiś młody człowiek, Niemiec rodem, który się znał na sztukach pięknych tyle prawie, co nieboszczyk bucentaur. A jaką piękną galeryę zostawiała po sobie margrabina Matteo! Prawdziwych Peruginów, prawdziwych Albanów, prawdziwybh Rafaelów, prawdziwych Carrachów, prawdziwych Carravagów, prawdziwych Dominiquinów, bo pomimo wszystkich amatorów i kramarzy na świecie, istnieją jeszcze gdzieniegdzie oryginalne obrazy tych wszystkich mistrzów. Za drobnostkę 1,200.000 franków kawaler zakupił całą galeryę nieboszczki margrabiny. Kiedy mu oddano klucze od tej galeryi, rzekł z radością: „Straciłem wprawdzie lat dziesięć życia, ale posiadam teraz najrzadszą, najautentyczniejszą galeryę w całych Włoszech i dodał: „kardynale Temporani, znam ja ciebie już dobrze teraz, ale umrzesz z radości, jak ujrzysz galeryę, którą ja z sobą z Włoszech przywiozę".

Więc kawaler Dardennes, jak łatwo się domyśleć, nie miał nic pilniejszego, jak udać się do swojej galeryi i zająć ją w posiadanie, jako jedyny i wyłączny jej właściciel, po zapłaceniu żądanej za nią sumy. Kochanek nie biegnie z taką niecierpliwością na pierwszą schadzkę z ubóstwioną, urzędnik nawet nie jest tyle niecierpliwy przybrać się w mudur nowego stopnia, który otrzymał.

Czterech oficerów Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, a wszyscy czterej czerwono przybrani, czekali u drzwi tej galeryi, którą za tak piękne i gotowe pieniądze zakupił. I tak się odezwali do kawalera:

— W imię rzeczypospolitej, pan nie wejdziesz.

— Jakto nie wejdę, czyż panowie chcecie się śmiać ze mnie?

— Niech pan się dowie tedy, kiedy to jeszcze panu nie jest wiadomem, że najjaśniejsza rzeczpospolita nie ratyfikuje takich kontraktów jak pański, ponieważ ona uważa jako własność narodową wszystkie galerye obrazów, znajdujące się w Wenecyi. Pan nie masz prawa tej galeryi zabierać, tak jak pan nie masz prawa zabierać Lwa św. Marka.

A więc kawaler Dardennes chcąc nie chcąc musiał się oddalić. Odwołał się on od tego wyroku; negocyacye trwały nader długo; naprzód dlatego, że prawo jest wyraźne i to prawo trwa jeszcze dotąd, powtóre, że dziedzic margrabiny który był sprzedał ową galeryę kawalerowi, przewidując trudność, zaraz po podpisaniu kontraktu umknął z Wenecyi.

Oto sposób, który wynaleziono, żeby pogodzić uszanowanie winne ustawom krajowym, z prawami obywatela francuskiego: ustępowano kawalerowi galeryę Matteo, pod tajemnym jednak warunkiem, że w najgłębszej tajemnicy każe kolejno porobić kopie tych wszystkich obrazów i w miarę przewożenia oryginałów do Francyi, zastępować je temi kopiami.

Ta podstępna zamiana, która od kilku wieków ciągle w Wenecyi miewa miejsce, trwała sześć lat przeszło. Nareszcie galerya Metteo została całkiem przemalowaną i każde arcydzieło zostało zastąpione przez kopię. Co nie przeszkadza Wenecyanom dziś jeszcze zamieszczać w „Przewodniku dla podróżnych": „Każdego dnia od dwunastej do drugiej, wyjąwszy jedynie niedziele i święta, można oglądać nieporównaną galeryę margrabiny Matteo".

Nareszcie kawaler zdołał przewieźć do Francyi, bez wielu wypadków i uszkodzeń całą galeryę nieboszczki margrabiny.

już sądzono go oddawna umarłym i nabalsamowanym, kiedy ukazał się napowrót w zamku swoich przodków. Zaraz więc nastała tam ogromna ruinacya, niszczono wszystkie pokoje, przerabiając je w wielkie salony galeryowe. Obrazy włoskie są to bardzo wielcy panowie. Trzeba dlań pałaców i świątyń, nie można ich lada gdzie poumieszczać, jak tych biednych Flamandczyków. Ileż trzeba było wydać pieniędzy, ileż zaciągnąć pożyczek, żeby urządzić pomieszkanie dla tych królów sztuki. Zamek Dardennes został na nowo obciążony hipotecznie, bibliotekę sprzedano, tę bibliotekę, która miała być świętą dla kawalera, gdyby kawaler miał jakiekolwiek wdzięczne wspomnienie dla ojca, najmniejsze poszanowanie dla słowa danego. Po tych wszystkich wydatkach z całego ogromnego majątku zostało się już kawalerowi zaledwie 16.000 liwrów dochodu.

Ale też zaprawdę, skutek odpowiedział staraniom.

Przybywano zdaleka, żeby zachwycać się cudownym widokiem tej przepysznej galeryi. Przez piętnaście lat zadowolona ambicya kawalera mogła sobie spoczywać wygodnie; chociaż wątpimy, ażeby ambicyi amatora był kiedy spoczynek dozwolony.

Pewnego razu ten złoty spokój został zakłócony dwoma wierszami pisma, pisma tak drobnego, że zaledwie je przeczytać można było:

„Kochany kawalerze!

Po skończonem winobraniu mam zamiar odwiedzić cię w twoim zamku Dardennes: spodziewam się przytem zapoznać z winem zamieszkującem twoje piwnice.

Twój stary przyjaciel
Kardynał Timoteo Temporani".

Dardennes zbladł, zadrżał, w oczach mu się zaćmiło, zdawało mu się, że ziemia chce umknąć z pod nóg jego. Temporani miał znowu się zjawić. Temporani, którego imię lękał się wymówić, bo to imię było dla niego przypomnieniem tylu trosk, niespokojności, bezsennych nocy. Jednakże, ponieważ kawaler był trochę filozofem, potrafił owładnąć sobą, zgodził się nawet nawet na to, że gdyby nie zazdrość kardynała, nigdyby na myśl nawet nie przyszło udać się do Włoch, skąd wywiózł ową cudną galeryę, która była jego dumą, chociaż go przyprowadziła do ubóstwa; koniec końców powiedział sam sobie: cóżby on mógł teraz znaleźć do zganienia w mojej galeryi? Niech przybywa, czekam go! Przybywaj, dodał poufałej, mojego wina, dam ci najlepszego, jakie tylko jest w mojej piwnicy.

Zapowiedziany dzień nastał; w zamku Dardennes zajmowano się winobraniem.

Zbytecznem byłoby powiadać, że kardynał był dobrze przyjęty! Wiadomo, że nikt nie potrafi z takim gustem wystąpić, jak zrujnowani magnaci. Nigdy tyle, jak wówczas, nie występuje lokajów, tyle serwisów kredensowych; rzec można, że to jest ich obchód pogrzebowy, na tym obchodzie popisują się z tem wszystkiem, co im z dawnej świetności pozostało. A jakie obiady przytem, jaka zwierzyna wytworna! co za doskonałe ryby! co za szczególne owoce.

Trzeba było nareszcie wspomnieć o galeryi.

Trzeciego dnia dopiero kardynał wszedł do *sanctum sanctorum*.

— Piękne, bardzo piękne! — wołał on za każdym krokiem.

— Cieszę się przynajmniej — rzekł kawaler — że wasza Eminencya nic już nie znajduje do nagany.

— Nic rzeczywiście, wszystko uwielbienia godne. A cóż? nie miałem słuszności, kiedym radził panu, żebyś wzbogacił swą galeyrę tymi klejnotami szkoły włoskiej, żebyś się pozbył całej swej flamandczyzny.

— Nie mówmy już o Flamandczykach - przerwał kawaler, któremu przeszłość ołowiem ciężyła na sercu.

Po chwili milczenia kardynał mówił dalej:

— Dodać jeszcze do tej galeryi zbiór starożytnych posągów, a twój zamek będzie mógł śmiało walczyć o pierwszeństwo z willą Orsini, z willą Borghèse i innemi najsławniejszemi willami.

Te słowa uderzyły jak sztyletem kawalera.

— Oto jest kawalerze lista moich posągów.

— On ma jeszcze i zbiór posągów! — zawołał kawaler, z rozpaczą załamując ręce.

— Tak, mam Hebe, trzy małe Nimfy, jednego Satyra rogatego i dwóch tłuściutkich bachusów, wynalezionych przy ostatniem odkopywaniu w Peloponezie.

— On ma satyra rogatego i dwóch tłuściutkich Bachusów - szemrał pognębiony kawaler.

Kardynał mówił dalej:

— Apollina bez ucha, Minerwę bez głowy i Wenerę bez nosa.

— On ma Wenerę bez nosa!

— Czyż bez posągów — mówił dalej Temporani — może kto poszczycić się dobraną galeryą? Nie!

— Nie! - powtórzył machinalnie biedny kawaler Dardennes.

— A oprócz posągów — dodał jeszcze okrutny kardynał — trzeba jeszcze posiadać zbiór kamei. Czy posiadasz pan zbiór kamei.

— Ani kawałka.

— Ja mam ich sztuk tysiąc pięćset. A medale? czy pan masz co z medali?

— Nie, nie mam.

— W takim razie nic nie masz kawalerze.

Kardynał wyszedł kiwając głową, zostawiwszy swojego gospodarza w tem przekonaniu, że nic nie ma, ponieważ nie posiadał ani posągów, ani kamei, ani medali. O niczem więcej odtąd nie myślał, jak tylko o podróży do Grecyi, dla wywiezienia stamtąd marmurów i posągów Heby i Bachusków.

Tu zaczyna się epoka wielkich poświęceń. Kawaler sprzedał zamek Dardennes, pozostając w nim tylko jako czasowy lokator, zapożyczył na ewikcyę swojej galeryi 100.000 franków, sprzedał wszystko, aż do kamienia, przykrywającego grób ojca, byle nakupić posągów.

W sześć miesięcy potem był w Grecyi.

I miał już ośmdziesiąt lat wieku i bawił jeszcze w Grecyi, skupując Adonisów bez rąk, Diany bez palców i Herkulesów, którym także czegoś nie stawało. Pod takiemi to nazwiskami potomkowie Agamemnona sprzedawali niekształtne bryły marmuru, przez włoskich fałszerzy wyrobione.

I tak tysiączek po tysiączku franków roztrwonił ostatnie szczątki jego majątku i kiedy powrócił do Francyi, to w jego galeryi rozwieszały się tylko na ścianach nędzne kopie zamiast oryginałów: naśladował w tem przykład wenecyańskich magnatów. Jego przepyszna galerya warta była najwyżej 1500 franków i to razem ze złoconemi ramami.

Nareszcie ów biedak, oszukany przez innych i przez siebie samego, położył się w łóżko, znękany starością i ciężką chorobą, zamieniając jeszcze niekiedy broń bez pochew na posągi bez nosów, posągi bez nosów na maczugi indyjskie, maczugi indyjskie na jaja strusie. Nareszcie znękany, umierający, opuszczony, w chwili skonania nie miał już nic więcej, jak tylko jednę papugę i to żywą... Co za ironia!...

KONIEC.

JÓZEF LASOŃ.

Gangrena

Z CYKLU: „NA FALACH ŻYCIA".

1)

Czytelniku! nie przerażaj i nie dław się życiem, które cię wokół otacza, otwórz źrenice oczu i patrz w dno żywota człowieka. Dojrzysz tam wszystko, koło czego przechodzisz, ocierasz się bezwiednie. Opowieść pisarza jest bowiem jak wypadek, który nagle stanął na drodze przechodnia i zmusił go do wytężenia myśli, zastanowienia się i rozważania. Otóż znów stawiam na drodze Twojej Czytelniku wypadek, daję opowieść, która przeżarła się przez krew i mózg mój, ażeby odsłonić Ci to, koło czego przechodzisz obojętny, niedostrzegasz mimo ustawicznego ocierania się o szaty i ciało Twoje.

Podnieś przeto kołnierz zarzutki, zakryj twarz celem niepoznania i krocz za mną śmiało. Zobacz życie!

Jest wieczór jesienny, w którym ożywia się wspomnienie wiosny. Ciepły zefir strąca pożółkłe liście drzew, oddechem rozkoszuje wszelaki żywot świata.

Uważaj drogi Czytelniku wyprowadzam Cię bowiem w boczną ulicę miasta, której to ulicy główny szlak prowadzi na cmentarz. Ulica przepełniona jest spacerującymi. Jedni rozkoszują się ciepłym jesiennym wieczorem, drudzy wracają po pracy na odpoczynek, inni wreszcie wychodzą do pracy lub na żer. Nawet gwiazdy żerują nocą. Właśnie wyjrzały z za twarzy księżyca i patrzą na siostrzyce ziemskie krążące po ulicach, żerujące po rogach ulic, zaułkach miasta: topią one wzrok w przechodniu wyszukując żeru. Gestem oczu, twarzy, ręki, całością swą wabią przechodnia, jak błędny ognik wprowadzający w bagno.

Jedna z nich, odbita od stadka skupiającego się na rogu ulicy, oplątać zdołała spojrzeniem nieznajomego, krąży wokół, przygotowuje szpony drapieżne: miłości. Dobrze zbudowana, elastycznym krokiem przechodzi obok upatrzonego, zagląda w twarz z całem zasobem kokieteryi. Wygląda na zdenerwowaną damę wyczekującą spaźniającego się kochanka. On jest zakłopotany, bezradny, żenujący się przechodniów, siebie, a mimo wszystko porwany pożądaniem. Jeśli uczyni krok wprzód, żądza cofa go o dwa kroki w tył. Rozumie, że ognik prowadzi go w bagno, utonie w gnojowisku, a jednak nie może wydobyć się i ruszyć naprzód. Stopy ugrzęzły już na trzęsawisku, ognik błędny nieznajomej przyciąga go coraz bliżej otchłani życia.

Mimo, że są sobie nieznajomi, słowa nie rzucili wzajem, rozumią się doskonale. Kobieta wchodzi w bramę domu, on wacha się przez kilkanaście sekund, wreszcie podąża za nią.

Jest to kamienica prawie, że nowa, budowana niedawno przed wojną. Marmurowe schody, brązowe poręcze świadczą o konforcie. Prócz frontu znajdują się obszerne oficyny. Kamienica ma kilkudziesięciu lokatorów z różnych sfer.

Jedno z frontowych mieszkań pierwszego piętra zajmuje funkcyonaryusz kolejowy, zdaje się nazwiskiem Prybowski. Ponieważ dla Ciebie Czytelniku nazwisko jest zupełnie obojętnem, nie będziemy sprawdzać rzeczywistego nazwiska, pozostaniemy zatem przy przytoczonym.

Mieszkanie państwa Prybowskich składa się z szeregu pokoi. Szeroki i długi przedpokój prowadzi do frontowych dwóch pokoi, w których dawniej urządzony był pierwszy salon, a w drugim pokoik Helenki córeczki państwa Prybowskich. Z lewej strony przedpokoju wchodzi się do dużego pokoju, przeznaczonego na sypialnię, stąd zaś do pokoju dalszej rodziny w końcu do kuchni. Dawniej całe mieszkanie zajmował dla własnej wygody, obecnie ograniczyli się do sypialni, pokoiku i kuchni.

Jest właśnie godzina wieczorna, w której państwo Prybowscy zasiadają do kolacyi. Głowa rodziny pan Antoni może mieć około pięćdziesięciu lat, szczupły, niski, wychudzony przez nędzę i borykanie się z życiem. Patrząc na jego wybladłą twarz, zagasłe spojrzenie, ma się wrażenie, że cień żywota ludzkiego snuje się po świecie, cień nieszkodliwy i nic nie znaczący. Jego ojciec, staruszek siedemdziesięcioletni jest wierną jego kopią powiększoną, zdziecinniałą przez starość, zbagatelizowaną przez życie. Ludzie tacy mogą żyć wieki, nie zwróciwszy na siebie uwagi. Dziaduś siedzi przy stole, wyczekuje pożywienia. Oczy wierne, przywiązane, łaszące się, spoczywają całe na gospodyni, przyrządzającej skromny wieczorny posiłek. Gdy nóż przy krajaniu mięsa silniej zazgrzytnie po talerzu, dziaduś rusza wargami, dziąsłami ssie powietrze i zapach krajanego mięsa. Obok niego siedzi wnuczka, Helenka, ośmnastoletnia pannica; wyglądająca daleko poważniej. Okrągłość biustu odziedziczyła po matce, smutne niebieskie przyćmione oczy po ojcu. Czarne krucze włosy, grubym warkoczem owite dokoła skroni odbijają się wdzięcznie od kremowej twarzy; naprzeciw Helenki siedzi czternastoletni syn Władzio, portret ojca, obdarzony żywością matki.

Siedzą w milczeniu. Ludzie ci mimo węzłów rodzinnych, skucia domowym łańcuchem, są sobie obcy, niechętni, rzekłbym, nieprzychylni.

Kolacyę przerywa przybycie gościa. Przybył dawny znajomy, którego zwali panem Gustawem.

Młody człowiek ożywił rodzinę. Szerokim gestem otworzył złotą papierośnicę. Łapczywie obaj Prybowscy pochwycili podane papierosy, słuchając mniej lub więcej interesujących przygód pana Gustawa.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kronika tygodniowa

Pięćdziesiąta trzecia kronika w bieżącym roku stawia kronikarza w naprawdę krytycznem położeniu, nie wie bowiem, czy ją ma zaliczyć do roku, który się kończy, a w którym ją pisze, czyli też do następnego, gdy się dostanie w ręce większości Czytelników. Jest zatem w kłopocie, czy już w tym numerze ma złożyć noworoczne życzenia, czy też dopiero w następnym. Jedno źle, a drugie niedobrze, jedni z Czytelników bowiem w tym tygodniu otrzymaliby je zawcześnie, drudzy w następnym zapóźno. Aby zatem pogodzić piękne z pożytecznem urządzi się w ten sposób, iż w tej kronice zapowie, że ma ochotę złożyć je wszem wobec i każdemu z osobna, a w następnym wytłómaczy się, że chciał, ale nie wiedział kiedy, a teraz już poniewczasie.

Zresztą P. T. Czytelnicy wiedzą dobrze o tem, że kronikarz dobrze im życzy, iż oni są wobec niego w ten sam sposób usposobieni w to nie wątpi, obejdzie się zatem bez owej banalnej formalności, która polega na tem, iż co innego się myśli, a zupełnie co innego mówi, jak gdyby to był pierwszy kwiecień, gdy się ludzie bawią w „zwodziciela“, a nie pierwszy styczeń.

Zanim przejdziemy do nekrologu roku „paskarskiego“ 1921., jak to zapowiedziano w poprzedniej kronice, należałoby złożyć sprawozdanie z przebiegu samych Świąt, co jednak przychodzi o tyle z trudnością, że kronikarz nie jest prorokiem, nie wie zatem jak je spędzi, a pracę swą tygodniową oddać musi drukarni już w dzień wigilijny. Na razie mógł skonstatować dwie katastrofy, pozostające w ścisłym związku z przygotowaniami do Świąt. Pierwszą z nich to bezrobocie cukierników, które wybuchło akurat w tydzień przedświąteczny. Wiedzieli pracownicy cukierniani dobrze, jak najskuteczniej ugodzić swych pryncypałów, bardzo boleśnie dotknęli jednak także i tych wszystkich, którzy, nie znajdując w domu słodyczy, szukać ich muszą w cukierni. Drugą katastrofą to strajk ryb, które choć kosztują „tylko“ po 775 marek za kilo, gdzieś się podziały, a ojcowie i matki rodzin urządzają za niemi po mieście formalne wyścigi, z którymi niczem w porównaniu zapowiadany tak szumnie przez *Kuryerka*, a dotąd nie doszły do skutku sześciokilometrowy bieg dystansowy. Najprawdopodobniej rybki wypłyną na wierzch w sam dzień wigilijny, lecz nie w handlu oficyalnym, ale w sympatycznym pasku, zatem po cenach *nieco* wyższych. Ponieważ zaś bez ryb we wigilię obejść się trudno, a większość obywateli z groszem się nie liczy, tego rodzaju politykę handlarzy ryb uważać należy za bardzo racyonalną i zasługującą na naśladowanie przez innych „przemysłowców“.

Kłopotów zatem, jak z powyższego widać, przy końcu roku nie brakło, te jednak, o których była mowa, dotyczyły przeważnie płci nadobnej, jako gospodarstwem domowem się zajmującej, gdy natomiast druga część rodzaju ludzkiego, która więcej interesuje się wypadkami politycznymi, nie miała w tym czasie powodów do irytacyi, gdyż, skutkiem szalejącego w ubiegłą niedzielę (18 grudnia) nad naszą okolicą gwałtownego orkanu, poprzerywane zostały połączenia telegraficzne i telefoniczne i choć już cały tydzień minął, dotąd jeszcze, odcięci od świata, jesteśmy politycznie niczem tabaka w rogu. Pisma codzienne przynoszą wprawdzie telegramy, oczywiście „najnowsze“, otrzymane jednak widocznie „na własnym drucie“, skoro w każdym numerze donoszą, że „skutkiem przerwania połączeń depesze telegraficzne i telefoniczne nie nadeszły ani z Wiednia, ani z Warszawy“. Jeśli zaś zawiodą te dwie krynice wiadomości politycznych, nie pozostaje nic innego, jak pomaganie sobie numerami pism zagranicznych z przed tygodnia, a od tego są nożyczki.

Aby zatem zadość uczynić zeszłotygodniowej zapowiedzi, że w dalszym ciągu omówi się dobre i złe strony kończącego się roku, przechodząc do tego tematu musimy przedewszystkiem podnieść z uznaniem, że zupełnie niesłuszne są narzekania na nasze społeczeństwo, iż nie lubi stosować się do wydanych przez władzę zarządzeń. Tak nie jest, specyalnie o ile to dotyczy ośmiogodzinnego dnia pracy. To postanowienie przestrzegane jest z wzruszającą skrupulatnością, nic też dziwnego, że w połączeniu ze spoczynkiem niedzielnym, staje się dla niejednego powodem trudnych do opisania kłopotów i zmartwień. Aby je zrozumieć i należycie odczuć, trzeba ich doświadczyć samemu. Onegdaj opowiadał kronikarzowi pewien urzędnik, iż przez cały miesiąc musiał się obchodzić bez guzika, który mu się urwał od... kamizelki. Jest wprawdzie żonaty, połowica jego zna się na gospodarstwie domowem, a zatem i na przyszywaniu guzików, na nieszczęście brakło w domu nici. Żona, słabowita, do miasta nie wychodzi, posługaczce przy obecnych wahających się cenach bała się powierzyć załatwienia tak wielkiego komisu, jak zakupno szpulki nici, prosiła zatem męża, aby się tem zajął, jeśli chce, aby guzik znalazł się na swem miejscu. Ale w tem znowu sęk, że pan domu jest wzorowym urzędnikiem, punktualnie przychodzi do biura, tak samo je opuszcza, gdy jest w drodze tam, sklepy są jeszcze zamknięte, gdy powraca, już zamknięte, a to samo powtarza się i popołudniu, w niedzielę zaś lub we święto nic nie kupi.

I minęły trzy tygodnie, a ów jegomość chodził z projektem kupienia nici, natomiast bez guzika, nie chciał zaś prosić nikogo o pośrednictwo, sam bowiem znał dobrze gusta swojej żony i wiedział o tem, że trudno ją zadowolić. Zresztą był posłusznym mężem, a żona wyraźnie kazała, aby on kupił a nie kto inny.

Kto wie, jak długo jeszcze musiałby się obchodzić bez guzika, co, wobec często obecnie powtarzających się zawieruch, mogłoby dla jego zdrowia mieć fatalne skutki, gdyby nie był się zdobył na krok męski i stanowczy, aby się uchronić od stereotypowego pytania, którem go witała żona po każdym powrocie do domu:

— A są nici?...

Oczywiście, odpowiadał, że ich niema, co wywoływało z jej strony złośliwą uwagę o jego głowie i pamięci, nie zdawała sobie bowiem sprawy, że dziś żyjemy w zupełnie innych warunkach, niż to było przed laty.

Doprowadzony tem do rozpaczy, musiał się ubrać w czarny surdut i pójść do przełożonego z prośbą o urlop na popołudnie z powodu „ważnego zdarzenia rodzinnego“. Prośba została uwzględnioną, nici się kupiło, a guzik, dzięki przestrzeganiu ustawy o ochronie pracy, znalazł się tam, gdzie powinien, dopiero po miesiącu.

Gdyby tak wszystkie ustawy u nas szanowano, jak ową, mającą na celu zwiększenie próżniactwa, bylibyśmy narodem najszczęśliwszym na świecie, a nasz ustrój wewnętrzny mógłby służyć za wzór innym krajom. Niestety, nie każde zarządzenie przyszło na świat pod podobnie szczęśliwą gwiazdą. Większość ustaw bagatelizuje się i dba się o nie tyle, co o śnieg zeszłoroczny.

Aby i polityce wielkoświatowej z r. 1921 poświęcić słów kilka, pozwolimy sobie przytoczyć wywiad, jaki „nasz własny korespondent“, przebywający stale w Londynie, a nie w „Esplanadzie“, miał niedawno z Lloyd'em George'em i miał czas zawiadomić nas o tem jeszcze przed zerwaniem połączeń telegraficznych i telefonicznych. Wiadomo, że dziś Anglia nadaje ton polityce światowej, słowa zatem angielskiego premiera, który jako syn szewca, zna się na niej dobrze, muszą mieć większe znaczenie, niż któregokolwiek innego męża stanu.

Lloyd George przyjął naszego wysłannika bardzo serdecznie. Zastał on go piłującego paznogcie, co czyni zawsze, ilekroć mu nieco podrosną, aby się uchronić od zarzutu drapieżności, której charakterystyczną cechą są długie pazury.

Na zapytanie, kto właściwie kieruje polityką angielską korona czy rząd, odpowiedział zagadnięty, co następuje:

— Oczywiście rząd!... Król jest od tego, aby siedział na tronie, od robienia polityki jest gabinet. Ponieważ zaś odpowiedzialnym redaktorem jest każdorazowy premier gabinetu, jego obowiązkiem jest nadawanie tonu polityce... Trzymam się tego, i jak pan widzi, źle na tem nie wychodzę. Zarzucają mi wprawdzie przeciwnicy, że wszędzie i zawsze myślę tylko o interesach angielskich, łatwo jednak każdy zrozumie, że, jako Anglik inaczej postępować nie mogę. Bliższa koszula ciała, niż kamizelka, uwzględniam zatem przedewszystkiem nasze własne interesy, obce zaś o tyle tylko, o ile się im nie sprzeciwiają.

W dalszej rozmowie poruszył Lloyd George cały szereg najaktualniejszych spraw politycznych i przedstawił naszemu sprawozdawcy swe zapatrywania na obecną i przyszłą sytuacyę, z których wynika jasno, że stosunki będą lepsze, o ile się poprawią, kiedy to jednak nastąpi, o tem dziś jeszcze powiedzieć nic nie można. Niemcy dążyły do opanowania całego świata i stały się wobec tego niebezpiecznym konkurentem Anglii, dziś, gdy położone są już na obydwie łopatki, interesom angielskim z tej strony nie grozi żadne niebezpieczeństwo, owszem, w zgodnem współżyciu z niemi widzi wielką korzyść dla Anglii, one bowiem pomogą jej do wyciągania gorących kasztanów z pieca. Interesy angielskie zwracają się przedewszystkiem w stronę Rosyi, Niemcy zaś, którzy mają tam już wyrobione stosunki, będą tylko bezwiednymi angielskimi pośrednikami.

Co do kwestyi światowego pokoju, jest Lloyd George zdania, że gwarantuje go najpewniej zupełnie przygotowanie do wojny, konferencya waszyngtońska może zatem w zasadzie uchwalać, co się jej żywnie podoba, każdy zaś postąpi tak jak będzie uważał dla siebie za najkorzystniejsze. Wiele lat jeszcze upłynie, nim na świecie zapanują sielankowe stosunki, a spory międzynarodowe rozstrzygać będzie trybunał przy zielonym stoliku, a nie oręż na polu walki. Wieki istnieje zdanie *„si vis pacem, para bellum“*, wieków całych potrzeba na to, aby ono straciło swe znaczenie.

Na zapytanie, dlaczego tak wrogo odnosi się do Polski i z taką lubością szyje jej na każdym kroku buty, odparł Lloyd George z uśmiechem:

— Co się tyczy szycia butów, to ma pan zupełną racyę. Jako synowi szewca sprawia mi to ogromną przyjemność. Myli się pan jednak, sądząc, że ja do Polski odnoszę się z niechęcią, zaznaczyłem bowiem z góry, że działalność moja skierowana jest ku temu, aby przedewszystkiem respektowane były interesy angielskie. W polityce o jakichś sympatyach lub antypatyach mowy niema, każdym krokiem kieruje interes. O ile Polska pójdzie po linii interesów angielskich, może być pewną mego poparcia, w przeciwnym razie musi liczyć na różne z naszej strony trudności.

Wogóle jest Lloyd George z obecnego toku wypadków zupełnie zadowolony, przedewszystkiem zaś z uwolnienia się od irlandzkiego czyraka, który mu na fotelu prezydyalnym wygodnie siedzieć nie pozwalał. Nie traci także nadziei, że kwestyę egipską i indyjską uda mu się również pomyślnie załatwić bez potrzeby uciekania się do jakichś nadzwyczajnych środków. W „żółte niebezpieczeństwo“ nie wierzy i bynajmniej się go nie obawia. Europa zbyt silnie położyła rękę na stosunkach wschodnich.

Wynurzenie Lloyd'a George uwolniły kronikarza od składania sprawozdania z obecnej sytuacyi politycznej, która przez cały ciąg roku 1921 była stale niepewną i obfitowała w najrozmaitsze niespodzianki. Czy doczekamy się powrotu stosunków na normalne tory, tego przewidzieć nie można, w każdym razie jest jednak pewne, że to tak rychło nastąpić nie może, a chaos, wywołany wojną światową, utrzyma się jeszcze lat całe dziesiątki, zwłaszcza, że niektórym jest na rękę, ułatwiając im łowienie ryb w mętnej wodzie. Tylko ci, którzy zabierają się do tego śmiało, mogą dziś liczyć na powodzenie, a pięknym przykładem świecą nam w tym kierunku nasi „bracia Czesi“, którzy pokazali, że są politykami pierwszego rzędu, oczywiście w myśl obecnych zasad, każących choćby po trupie swego przeciwnika iść naprzód do wytkniętego z góry celu.

Całe szczęście, że się kronikarz pomylił, obliczając długość swej tygodniowej pracy. Z jego kalkulacyi, przeprowadzonych z iście kupiecką skrupulatnością (oczywiście „wojenną“, bez oglądania się na Urząd walki z lichwą i jego prerogatywy...), wynikało, że kronika akurat „wlezie“ i zapełni trzy szpalty. Pokazało się jednak, że rachuby zawiodły i że w ostatniej chwili trzeba jej na gwałt dosztukować kawałek ogona. To ratuje sytuacyę, można bowiem, bodaj pokrótce, złożyć sprawozdanie z przebiegu Świąt i w ten sposób godnie zakończyć rok 1921.

Obawy, że Boże Narodzenie będzie „po błocie“, tym razem na szczęście naszych dziurawych butów nie spełniło się, co jednak nie wyklucza, że kto chciał wleźć w błoto, ten je mógł znaleźć, Zakład czyszczenia miasta zostawia bowiem dla wygody P. T. Publiczności kupki błota, szczególniej na ulicach przy których nie znajdują się rezydencye sławetnych ojców naszego grodu. Pod względem wyżerunku i wypitku przewidywania spełniły się natomiast co do joty. Stół wigilijny świecił przeważnie pustkami, jeśli zaś ktoś zdobył się na strucelkę z makiem chował ją na gwałt przy każdym podejrzanym szmerze koło drzwi, w obawie, by mu jej goście nie zjedli. Staropolska gościnność, którą tak szczyciliśmy się dawniej, podczas wojny gdzieś przepadła i ani rusz ją odszukać. Pracownicy cukierniczy strajkują dalej, nie chcąc widocznie, aby nam było słodko.

Przez dwa dni świąteczne używało się natomiast wiele spaceru, a większość mieszkańców kierowała swe kroki w stronę Wawelu, aby się przekonać, jak wygląda Kościuszko na rotundzie Władysława IV. Skonstatowano u Naczelnika widoczne zadowolenie, że udało mu się nareszcie wyrwać z niewoli, przykrzejszej, niż petersburskie więzienie.

pia się w ludność od najpierwszych lat młodości. W powitaniu księcia wzięły udział wszystkie warstwy, witało go wojsko i ludność cywilna, młodzież wyższych zakładów naukowych urządziła na jego cześć wspaniały korowód z lampionami, dziewice z arystokracyi zaś wzięły udział w obchodzie religijnym, na podziękowanie za szczęśliwy powrót przyszłego władcy. urządzonym w kaplicy, poświęconej pamięci cesarza Meiji, twórcy nowoczesnej Japonii, a dziadka księcia Hirohito. Odbyły się tutaj mistyczne tańce wśród śpiewów i muzyki.

Nowoczesna Japonia zajmuje coraz bardziej uwagę całego świata, a na Wschodzie objęła zupełnie tę samą rolę, jaką Niemcy starali się odegrać na Zachodzie. Postępowe reformy w Japonii wzorowane są na sposób niemiecki, armia japońska nowoczesna miała Niemców za swych intruktorów.

„Japonia, której ludność wzrasta z niesłychaną szybkością, tak, że wprost dusi się na terytoryum swych rodzinnych wysp, musi mieć pole do ekspanzyi" — zdanie to słyszy się i czyta tak często, iż stało się ono jednym z najbardziej utartych komunałów obecnej mowy politycznej. Przeciw temu twierdzeniu występuje jeden ze znanych polityków angielskich, Lennox Simpson, doradca rządu chińskiego, uważany za autorytet w sprawach Dalekiego Wschodu. *Times'y* podają treść dokumentu, ogłoszonego publicznie w Ameryce przez Simpsona, który pisze, iż muszą przejść najmniej jeszcze dwie generacye, aby przeludnienie przybrało w Azyi Wschodniej znaczenie politycznej doniosłości. „Gdyby — pisze on dalej — ziemie rządowe na wyspie Hondo stały się dostępne dla prywatnej własności, i gdyby wyspa Hokaido została należycie wykorzystana, to Japonia pomieściłaby z łatwością jeszcze z trzydzieści milionów mieszkańców. Mandżurya, której obszar równa się obszarom Francyi i Niemiec wziętych razem, jest miejscem dla wielu milionów mieszkańców. Ludność może jeszcze przez dwadzieścia lat wzrastać z niepomierną szybkością w tych okolicach, a mimo to nie będzie jej za dużo".

Simpson dodaje, iż niema obawy, aby Japończycy wchłonęli Chińczyków. Przeciwnie. Na podstawie praw etnicznych bowiem, zawsze rasa ludzi o wyższej budowie ciała wchłania rasę o słabszej konstrukcyi.

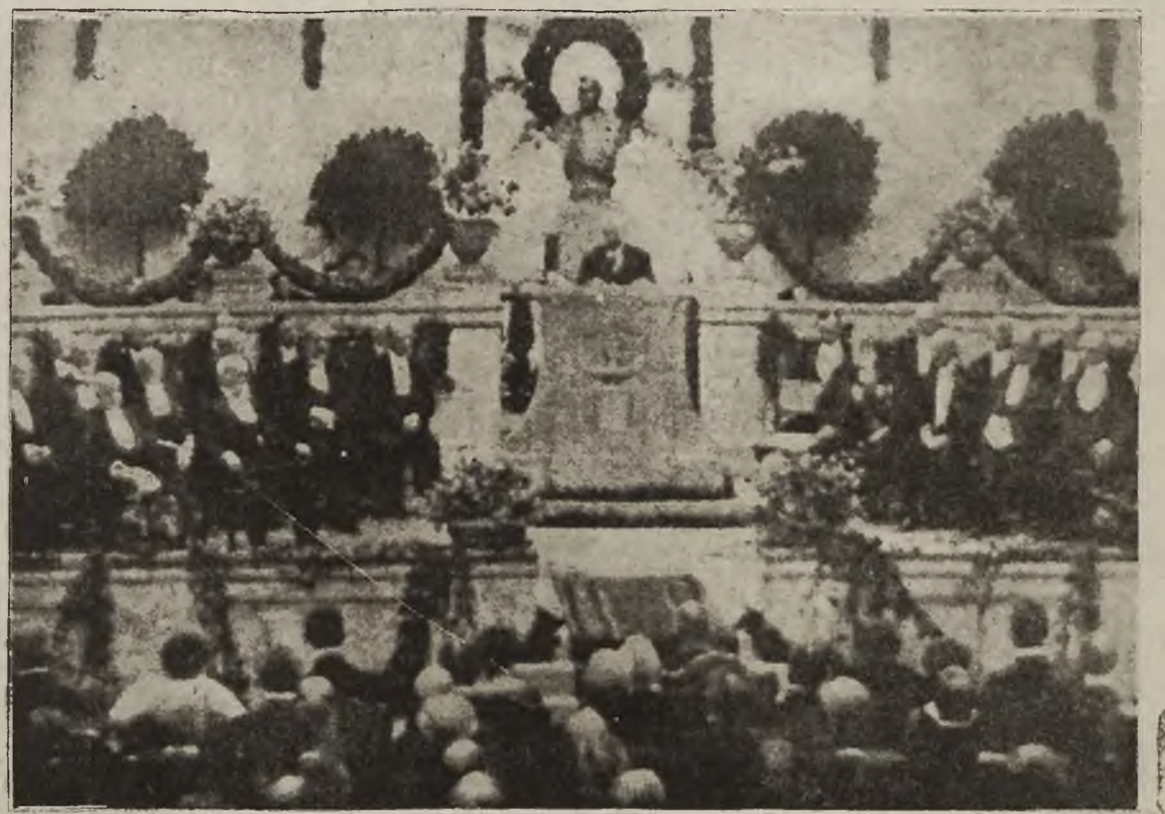
Teorya Simpsona będzie prawdopodobnie przedyskutowana na konferencyi waszyngtońskiej, chociaż zagadnienie immigracyi nie wchodzi w program jej obrad. Ameryka, Australia i Kanada, występując przeciw immigracyi żółtej, dowodzą, że immigracya ta jest groźną nie tylko pod względem handlowo gospodarczym, lecz przedewszystkiem z tego powodu, że zmięszanie rasy żółtej z białą, dało — jak dotąd — bardzo ujemne wyniki. I na wyspie Haiti powstał typ człowieka, który nie jest ani żółtym, ani białym, a przedewszystkiem nie jest pięknym.

Wręczenie nagród z fundacyi Nobla.

Przemysłowiec skandynawski, Nobel, wystawił sobie sam pomnik trwalszy od spiżu i granitu, przekazujący nazwisko jego wdzięcznej potomności. Przeznaczył on mianowicie swój kolosalny majątek, zarobiony przeważnie na wyrobie dynamitu, na utworzenie fundacyi wieczystej, z której corocznie rozdziela się pewną ilość nagród między najwybitniejszych pracowników w poszczególnych działach nauki, a także na polu działalności filantropijnej, ku czemu służy tak zwana, nagroda pokojowa, nadawana osobom, które przyczyniły się w szczególniejszy sposób do utrwalenia pokoju światowego. Fundacya ta jest międzynarodową, prawo ubiegania się o nagrody mają uczeni i działacze społeczni całego świata. Każda nagroda składa się z pokaźnej sumy w gotówce, mogącej zapewnić beztroskie pędzenie dalszego żywota, dyplomu honorowego i złotego medalu, wybitego na cześć laureata.

W jednym z poprzednich numerów naszego pisma donieśliśmy już, że tegoroczną nagrodę Nobla z działu literatury przyznano sędziwemu francuskiemu pisarzowi, Anatolowi France. Uroczyste jej wręczenie odbyło się w Sztokholmie w pierwszej połowie bieżącego miesiąca. Drugim nagrodzonym był dziwnym zbiegiem okoliczności Niemiec, znany fizyk i chemik, profesor Nernst, laureat z działu fizyki. Obok siebie stanęli w miłej zgodzie przedstawiciele dwu najbardziej wrogo wobec siebie usposobionych narodów, aby udowodnić, że nauka i sztuka nie zna waśni politycznych ani narodowościowych. Na fakt ten zwróciły baczną uwagę pisma zagraniczne, w szczególności zaś francuskie, uważając go za dobry prognostyk w sprawie pogodzenia się dwu powaśnionych sąsiadów,

Aktu uroczystego wręczenia nagród obu laureatom dokonał król szwedzki w obecności członków



Wręczenie nagród z fundacyi Nobla: Uroczysty akt wręczenia nagród Anatolowi France i prof. Nernstowi w Sztokholmie.

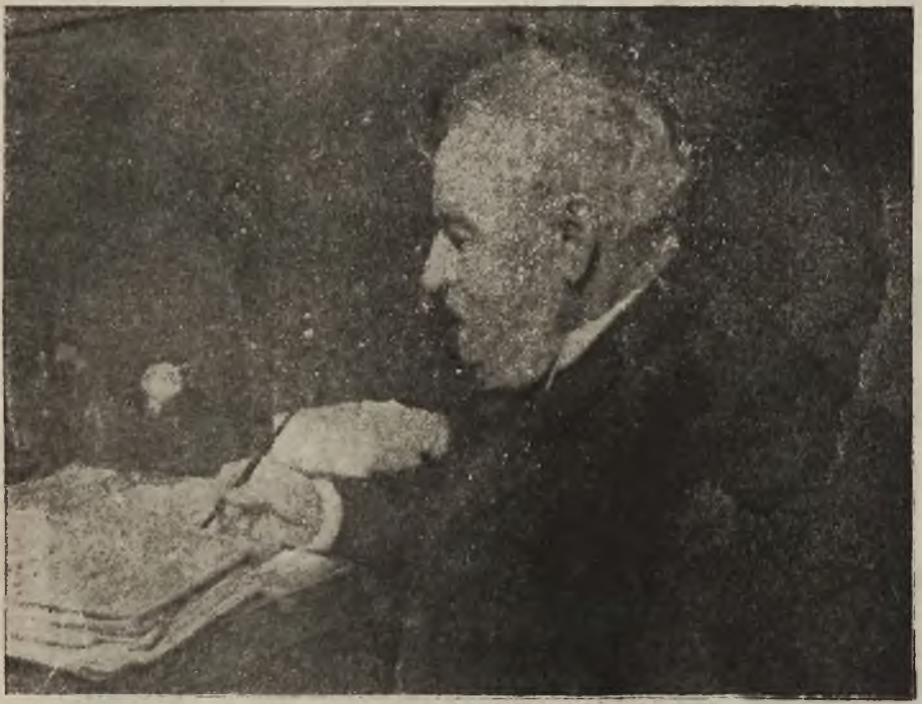




Uczczenie pamięci Flauberta: 1) Artysta rzeźbiarz Esconls. przy modelowaniu popiersia Flauberta według oryginału Ciesingera dla pomnika autora w Ogrodzie Luksemburskim. 2) Pomnik Gustawa Flauberta w Ogrodzie Luksemburskim, odsłonięty uroczyście w dniu 12 grudnia br. jako w setną rocznicę urodzin znakomitego pisarza.

domu panującego, dostojników państwowych, ciała dyplomatycznego oraz licznie zebranej publiczności, między którą większość stanowili przedstawiciele świata naukowego, literatury i sztuki. Po odpowiedniej przemowie wręczył król obu odznaczonym dyplomy honorowe, nagrody i medale, poczem odbył się na ich cześć obiad galowy, wydany przez króla. Obaj laureaci byli przedmiotem zasłużonych owacyi ze strony szwedzkiego świata naukowego.

Z pobytu w Szwecyi Anatola France skorzystali tamtejsi dziennikarze i trapili staruszka nieustannymi wywiadami, a on, z wrodzoną Francuzom uprzejmością spieszył każdemu z wyjaśnieniami co do swoich światopoglądów. Skorzystał też ze sposobności, aby wyraźnie zaznaczyć, że niesłusznie czynionym mu bywa zarzut, jakoby hołdował zasadom komunizmu, komunistą bowiem nigdy nie był i nie jest, mylne przypuszczenie nasunąć zaś mogło chyba to jedynie, że zwalczał zawsze kapitalizm, ale szanował i uznawał zawsze własność prywatną. Drobna własność stosowana w szerokich rozmiarach, jak to się stało we Francyi, przedstawia jego zdaniem najlepszy system społeczny.



Zgon francuskiego kompozytora: Kamil Saint-Saens autor opery „Samson i Dalila".

Zgon francuskiego kompozytora.

W ostatnich czasach nadeszła z Algieru wiadomość o zgonie jednego z najwybitniejszych kompozytorów obecnej doby Kamila Saint-Saëns'a. Utwory jego przebiegły świat cały, a już Wagner uznawał go za pierwszego muzyka współczesnej Francyi.

Saint Saëns urodził się w Paryżu dnia 9 października 1835 r. Pierwsze próby jego kompozycyi przypadają na piąty rok życia. Czyni on tak szybkie postępy w muzyce, że już mając dziesięć i pół roku występuje po raz pierwszy z koncertem.

W r. 1858 zostaje Saint-Saëns organistą w kościele św. Magdaleny. Zachęcony wciąż rosnącym powodzeniem, w roku 1870 porzuca to stanowisko, aby poświęcić się koncertom, z których żył. Gdy w tym mniejwięcej czasie walka o Liszta rozszalała się na dobre, osiągnął Saint-Saëns wielkie powodzenie w Niemczech, a szczególnie dwa jego utwory: „Taniec szkieletów" i „Phaëton".— Oprócz tych dwu dzieł skomponował Saint Saëns poematy symfoniczne: „Kołowrotek Omfalii" i „Miłość Herkulesa", oraz trzy symfonie Es-dur, A-moll i C-moll, z których ostatnia (napisana w 1886 r.) poświęcona pamięci Liszta, „Symfonia z organami", odznacza się ogromem treści oraz głębokością i powagą myśli i uważana jest za najwybitniejszą.

Również w dziedzinie opery odznaczył się Saint-Saëns. Jego najlepsze dzieło „Samson i Dalila" wystawiono po raz pierwszy w Niemczech, w Weimarze, staraniem Liszta, w roku 1877. W Paryżu na scenie Wielkiej Opery znalazło się dopiero w 1890 roku.

Nie można również pominąć milczeniem twórczości Saint Saënsa w dziedzinie koncertów instrumentalnych. Jego koncerty na fortepian z orkiestrą nie przejmują wprawdzie słuchacza głębokością treści i potęgą uczucia, ale wykazują wielki polot artystyczny i ten lekki, iście francuski esprit muzyczny, który tak znakomicie ułatwia zrozumienie znakomitego kompozytora. To samo da się powiedzieć o koncercie wiolonczelowym, który bogactwem melodyi i serdecznego ciepła mało ma sobie równych w literaturze muzyki wiolonczelowej.

Do roku 1886 wykazuje Saint-Saëns ożywioną działalność jako dyrygent i pianista; następnie jednak stan jego zdrowia zmusza go do jej ograniczenia. Większą część roku spędzał na południu, częściowo w Egipcie, częściowo na Wyspach Kanaryjskich, ostatnio zaś w Algierze, gdzie w tych dniach właśnie życie zakończył.



Kolorowy laureat: René Maran, murzyn z Martiniki, nagrodzony na konkursie Akademii Goncourt'ów za swą powieść „Batouala".

Kolorowy laureat.

Francuska Akademia Goncourt'ów, która co roku nadaje jedną nagrodę 5.000 franków za dzieło powieściopisarskie i wsławiła się dotąd wprowadzeniem wielu nowych talentów do literatury francuskiej, odbyła doroczne swe posiedzenie pod przewodnictwem p. Gustawa Geffroy. Po kilkakrotnem gło-

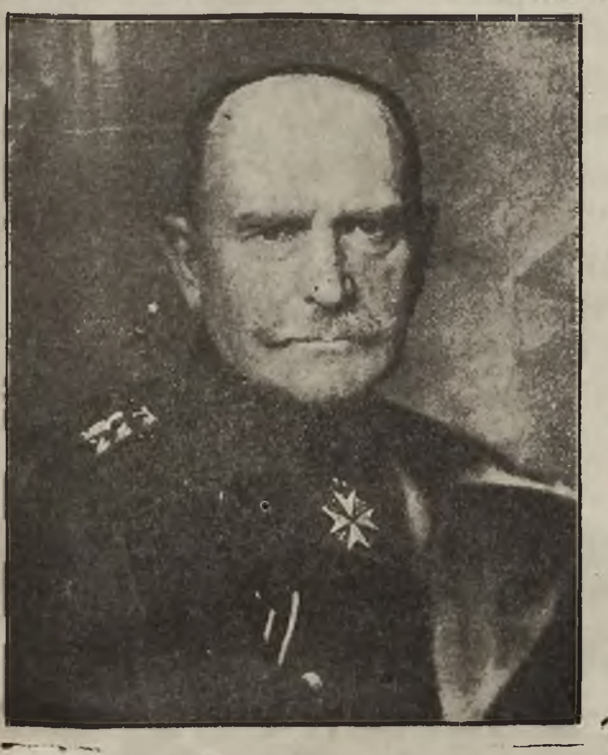


Z tajemnic Dalekiego Wschodu: Rząd olbrzymów trzymających świętego węża tworzący balustradę przed bramą świątyni w Angkorze.

sowaniu równą liczbą głosów, tj. po 5 głosów otrzymali dwaj autorowie, mianowicie p. Rene Maran, autor powieści „Batouala" i p. Jacques Chardonne za powieść p. t. „Epithalame". Ponieważ za „Batouala" głosował przewodniczący, więc wedle statutu Akademii to dzieło otrzymało nagrodę.

Ciekawą jest rzeczą, że p. Rene Maran jest „kolorowym" Francuzem, t. j. mieszkańcem z Martiniki. Wykształcił się jednakże w Bordeaux we Francyi, a obecnie jest urzędnikiem kolonialnym francuskim w Fort Archambud nad jeziorem Czad.

„Batouala" stanowi studyum z życia murzynów. Powieść napisana ze znajomością stosunków i duszy czarnych mieszkańców Afryki, skreślona w sposób żywy i nadzwyczaj barwny, wprowadza czytelnika w środowisko bardzo mało mu znane, a nadzwyczaj interesujące. Autor, współczujący serdecznie z swymi afrykańskimi braćmi, w sposób zupełnie postępowy



Ostatni jenerał-gubernator warszawski: Zmarły w ubiegłym tygodniu w Berlinie, jen. artyleryi von Besseler.

zaznajamia szerszy ogół z ich losami. Możnaby powieść tę nazwać krzykiem protestu i litości nad biednymi murzynami afrykańskimi, wyzyskiwanymi i zamęczanymi przez białych kolonistów.

Powieść ta jest jednocześnie interesującem studyum duszy murzyńskiej, przesądnej i zabobonnej.

Uczczenie pamięci Flauberta.

Inter arma silent Musae... W ciągu siedmiu lat wojennych nie spotykaliśmy się z przejawami życia duchowego, troskę wszystkich stanowiła myśl, co też jutro przyniesie, jaką zgotuje przyszłość. Dziś, gdy ucichły odgłosy wojenne i życie kulturalne dopomina się o swoje prawa, to, co zaniedbano przez lat szereg, wchodzi obecnie na porządek dzienny.

Jednym z jego objawów było uczczenie setnej rocznicy urodzin francuskiego pisarza, Gustawa Flauberta, które obchodziła uroczyście cała Francya. — Cenionemu, a w swoim czasie niedocenianemu należycie autorowi wystawiono pomnik w Ogrodzie Luksemburskim i odsłonięto w dniu 12 grudnia br. Jest to kopia oryginału, przedstawiającego popiersie Flauberta, modelowana przez artystę-rzeźbiarza, Escoula, według słynnego oryginału Clésingera.

Najtrafniejszą może z charakterystyk działalności literackiej Flauberta spotkaliśmy w „Głosie Polskim", wychodzącym w Łodzi.

„Gustaw Flaubert — czytamy tam — którego setną rocznicę urodzin obchodzono w tych dniach we Francyi, może być śmiało uważany za typ pisarza XIX wieku. Zamknięty w swym domku w Croisset, niedaleko od Rouen, spędzał dni na polerowaniu pięknych zdań i oburzaniu się na głupotę współczesnych. Zerwał on nawet do pewnego stopnia ze swą epoką, której nienawidził. Żył jedynie snem artysty.

W XVII i w XVIII wieku pisarze nie byli wcale głupsi, niż w wieku XIX, a jednak oddychali swoją epoką i nie odczuwali potrzeby unikania ludzi, aby tem łatwiej módz nimi pogardzać. Przeciwnie, pchali się na dwór i do salonów i prowadzili żywot mniej lub więcej pracowity, mniej lub więcej regularny. Nie słyszeliśmy, aby skarżyli się na swą epokę i aby mówili, że burżuazya, o której bywali, jest najgłupszą, najciemniejszą i najbardziej próżną, jaką kiedykolwiek widziano. Czy doprawdy burżuazya XIX stulecia była głupszą, ciemniejszą i bardziej próżną, niż w wiekach poprzednich? Głupszą i ciemniejszą — nie, ale bardziej próżną — napewno. Rewolucya rozkiełznała u jej twórców i u ich synów prawdziwą manię wielkości. Pomiędzy ludźmi puszącymi się swą ważnością porozumienie było wykluczone. Artyści i burżuazya pogardzali sobą i ignorowali się wzajemnie.

Flaubert w dziełach swych przeprowadził doskonałą analizę umysłu mężczyzny — lub kobiety — który uważa się za wyższego od środowiska, i który stara się oddziaływać na otaczającą go miernotę. Jeden z wybitnych filozofów uczynił z tej pomyłki psychologicznej pojęcie filozoficzne, które nazwał „bovaryzmem", na cześć sławnej bohaterki Flauberta. Ale sam Flaubert był również dotknięty „bovaryzmem" i dlatego tak doskonale uchwycił tę chorobę umysłową, ciążącą na dzisiejszem społeczeństwie. Ilu rzemieślników, urzędników, drobnych mieszczan, zatrutych snami o majątku i sławie, żywi w duszy odrazę do swego zajęcia".

Z tajemnic Dalekiego Wschodu.

Pomnikowe zabytki Kambodży, znane ogólnie pod nazwą grupy d'Angkor, opisane zostały w książce Lotiego, który opiewał entuzyastycznie wielkość i wspaniałość tych świątyń, specyaliści, uczeni, architekci i archeologowie poświęcali im fachowe artykuły, niedostępne jednak dla szerszego ogółu. Spotyka się tutaj z takim nadmiarem dzieł sztuki wschodniej, sięgających zamierzchłej przeszłości, że zwiedzający jest po prostu w kłopocie, od czego zacząć, co opuścić, czemu naczniejszą poświęcić uwagę. Każdy przedmiot, z którym się tutaj spotykamy, nosi na sobie swe właściwe piętno, oddziaływując na europejskiego widza w sposób tajemniczy i fantastyczny.

To, co opowiadali przed niespełna pół wiekiem turyści, którzy zwiedzili te okolice, a co Loti później powtórzył, to jakby bajki z „Tysiąca i jednej nocy". Obecny stan zabytków nie odpowiada dawniejszemu, wiele z nich w międzyczasie uległo zniszczeniu. Pierwotnie składowa część Siamu, w późniejszych czasach okolice te przeszły pod zarząd francuski, który dołożył wszelkich starań, aby udostępnić te skarby sztuki dla zwiedzających, których liczba wzmaga się z roku na rok. Dla turystów zbudowano po europejsku urządzony hotel, mieszczący się obok starożytnych ruin, a w bezpośrednim sąsiedztwie objektów, godnych najbardziej zwiedzenia. Krążą tu samochody, ułatwiające komunikacyę, dla ich użytku urządzono kilkadziesiąt kilometrów doskonałego gościńca, prowadzącego do świątyni Angkory, do pomników w Takeo, Ta Prohm, Banteai, Kdei, Pre Rup, Mebon, Neak Pean i Prah Khan.

Ze strony rządu francuskiego przyczyniono się wydatnie do konserwacyi zabytków, zareklamowano też skutecznie w szerokim świecie cuda tutejszej natury i ręki ludzkiej.

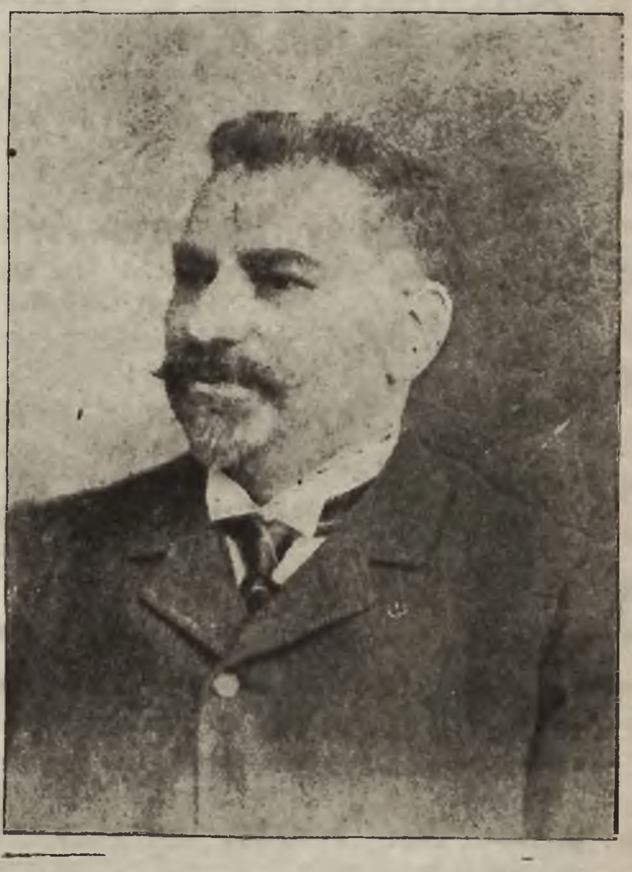
Kambodża imponuje nie tylko dziełami sztuki, lecz i wspaniałymi widokami. Do nich należą przedewszystkiem dwa grobowce cesarzy Anamu i panorama zatoki Along w Tonkinie. Pawilon indochiński na wystawie kolonialnej w Marsylii w r. 1922 przedstawi między innemi świątynię w Angkorze, która da pojęcie o nieporównanem bogactwie tych zabytków.

Ostatni jenerał-gubernator warszawski.

Telegramy pism codziennych doniosły, że z końcem ubiegłego tygodnia zmarł w Berlinie jenerał artyleryi Besseler, zdobywca Antwerpii i Modlina, a następnie gubernator okupowanej przez Niemców byłej Kongresówki. Dwa lata urzędował w warszawskim Belwederze, krótki ten okres czasu wystarczył przecież zupełnie, aby się zapisać bardzo smutnie w dziejach naszego narodu.

Jenerał Besseler był typem pruskiego żołdaka, wykonującego ślepo polecenia jeneralnego sztabu. Dwuletnia jego działalność w Polsce pozostawiła po sobie ślady na całe lat dziesiątki, zniszczenie, jakiego dokonały postępujące naprzód wojska niemieckie, porównać się da chyba z pochodami Hunnów lub Tatarów. Wojna przycichła, zniszczenie to prowadzone było konsekwentnie w dalszym ciągu, leżało bowiem w interesie Niemiec, pewnych wówczas ostatecznej wygranej, aby okupowane tereny doprowadzić do takiego stanu, by po wojnie mogły się stać rynkiem zbytu dla niemieckiego handlu i przemysłu. Należało zatem przedewszystkiem zadać śmiertelny cios miejscowym fabrykom, uczyniono też to z prawdziwie pruską pedanteryą aż do ostatniego punktu programu, nie zapominając, co lepsze i bardziej wartościowe wywieźć do Niemiec.

W prowadzeniu tej polityki jen. Besseler okazał się prawdziwym mistrzem, przeprowadzając ją cicho i spokojnie, bez potrzeby uciekania się do zbyt głośnych represaliów. I z tego powodu tem bardziej niebezpieczny. Właściwa władza pozostawała niepodzielnie w jego rękach, cień jej zaledwie dostał się czynnikom samorządowym, które, acz ożywione najlepszemi może chęciami służenia krajowi, nie miały do tego dość siły, ale też i sposobności, nie umiejąc się o nią upomnieć. Z tych naprzykład czasów pochodzi dowcipny kalembur, odnoszący się do by-



Z żałobnej kroniki: Bł. pam. Henryk Frist, założyciel Salonu Malarzy Polskich w Krakowie

łego premiera Kucharzewskiego, o którym mówiono złośliwie: „Kiepski to kucharz, który warzy rosół *bez selera*".

Z kroniki pośmiertnej.

W pierwszej połowie grudnia zmarł w Krakowie bł. pam. Henryk Frist, założyciel Salonu Malarzy Polskich i bardzo ruchliwy wydawca, którego popularyzacyjnej działalności sztuka polska ma wiele do zawdzięczenia.

Z małych początków, energiczną i sumienną pracą potrafił bł. pam. Frist przedsiębiorstwo swoje doprowadzić do tego stanu rozwoju, iż śmiało mogło konkurować z podobnemi instytucyami zagranicznemi. Zwłaszcza wydawnictwem artystycznych pocztówek przyczynił się do rozpoznania się szerszych warstw z przejawami współczesnej sztuki polskiej, rozpowszechnił je za granicą w najlepszym jej wyborze, co zaś niemniej ważne, wyrugował w ten sposób bodaj częściowo artykuł ten, bardzo wątpliwej artystycznej wartości, sprowadzany całemi pakami z zagranicy. Potrafił on odczuć potrzebę chwili, sztuce polskiej przysłużył się pięknie, a i sam na tem nie stracił.

Na sztuce znał się i zajmował się nią bardzo żywo i to właśnie zamiłowanie do niej skierowało go na drogę tych licznych artystycznych wydawnictw, które wyszły z znanej w całym kraju jego firmy. Wydał więc między innemi reprodukcye szeregu obrazów najcelniejszych naszych mistrzów, jak „Przysięgę Kościuszki", Styki „Polonia", Matejki „Polonia" i „Poczet królów polskich" i td. Ponadto albumy grawiurowe dzieł Jacka Malczewskiego z słowem wstępnem Witkiewicza i wierszami L. Rydla, album Jacka Malczewskiego „Zatruta studnia", album Stachiewicza i Pietrzyckiego „Pięć zmysłów", album Wawelu, Tondosa i Kossaka z objaśnieniami historycznemi K. Bartoszewicza i td. Są to wydawnictwa wykonane artystycznie, mogące o lepsze iść z podobnemi, zagranicznemi.

NA ROK **1922** NA ROK

KALENDARZ BIURKOWY TYGODN.

w cenie 120·— Marek.

Kalendarzyk kieszonkowy

broszurowany w cenie 25·— Marek.

w ozdobnej oprawie

imitacya płótna 70·—, imitacya skóry 80·—

jest już do nabycia

w Administracyi „Nowości Illustrowanych“

w Krakowie, ulica Kazimierza Wielkiego Nr. 95.

Odsprzedawcom przyznajemy znaczny rabat. Wysyłki na prowincyę uskutecznia się za złożeniem gotówki i za zwrotem porta.

REDAKCYA „ECHO DALEKIEGO WSCHODU“

Japonia, Tokyo, Shimo Shibuya Shinchi 57.

ODEZWA.

ZAWIADAMIAMY KUPCÓW I PRZEMYSŁOWCOW RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ PRACUJĄCYCH NA EKSPORT, IŻ JEDNYM Z ZADAN NASZYCH BĘDZIE UŁATWIENIE NAWIĄZANIA STOSUNKÓW HANDLOWYCH Z RYNKAMI DALEKIEGO WSCHODU I W SZCZEGÓLNOŚCI Z JAPONIĄ, W TYM CELU PROSIMY ZAINTERESOWANE FIRMY HANDLOWE I PRZEMYSŁOWE O NADSYŁANIE NAM ODPOWIEDNICH INFORMACYJ, DOTYCZĄCYCH PRODUKTÓW I TOWARÓW KWALIFIKUJĄCYCH SIĘ DO EKSPORTU, ORAZ SWOICH HANDLOWYCH ADRESÓW, KTÓRE PERYODYCZNIE BĘDĄ PODAWANE DO WIADOMOŚCI W JAPONSKIM I ANGIELSKIM JĘZYKU W NASZYM PIŚMIE.

Redakcya.

Żądać wszędzie! **POLECANE PRZEZ LEKARZY** Żądać wszędzie!

FENODONT pasta do zębów, woda do ust, proszek do zębów

wzmacnia dziąsła, usuwa kamień ślinowy i dezynfekuje jamę ustną.

Fabr. Chem.-Kosmet. „Fenomen“ Kraków-Podgórze, Brodzińskiego 3 (przy starym moście).

Wojna skończona, zniesione kordony.

Rodakom powiększonej Ojczyzny poleca założony przed dwudziestu laty

Związek katolickich krawców w Krakowie

ulica Floryańska L. 7, (tuż przy Rynku) swoje usługi.

Przyjmuje zamówienia na ubrania męskie spacerowe i wizytowe, wykonując takowe z własnego i powierzonego materyału na miarę według wyrażonego życzenia. — Panowie przybywający do Krakowa reflektujący na fachowo i solidnie sporządzony ubiór zechcą z zaufaniem zwrócić się do naszej firmy. Robota pierwszorzędna, terminowa. — Za rzetelną i sumienną obsługę poręcza dwudziestoletnia reputacya naszego zakładu.

Także dla osób duchownych sporządzają suknie wytrawni specyaliści

Sprzedaż materyałów na męskie i damskie kostyumy.

„Dyrekcya“.

Jedyny najtańszy dom handlowy



IGNACY CYPRES

Kraków, ul. Szewska 13/N.I.

poleca: nikl. syst. Roskopf mk. 3500, Budzik z przedwoj. werkiem mk. 4200, Skrzypce ze smyczkiem mk. 6000 i wyżej. Harmonie, wiedeński model jednorzędówka mk. 7000, dwurzędówka mk. 15000. Trąby akordeonowe mk. 1500, 1800. Dyamenty do szkła mk. 2500, 3000. Brzytwy mk. 800, 1000, 1200. Maszynki do włosów mk. 1800, 3000. Maszynki do samogolenia mk. 1500, 2000. Pas do brzytwy mk. 400. Kamień mk. 250. Pudła do skrzypiec mk. 3500, 5000. — Wysyłka za zaliczką. — Cennik illustrowany za nadesłaniem 40 mk. przekazem.

Kupuje złoto i srebro.

ADMINISTRACYA

Nowości Illustrow.

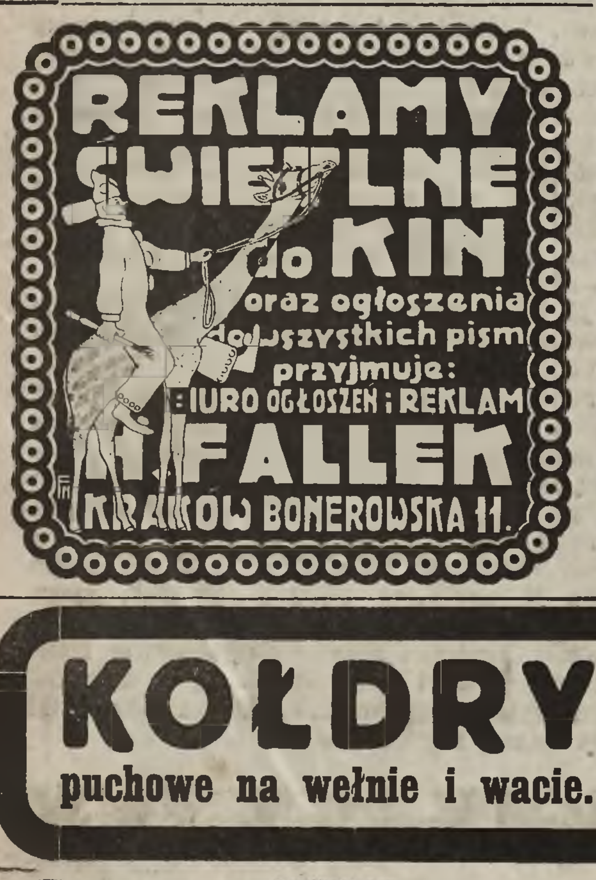
odsprzedaje klisze cynkowe

z każdego numeru po połowie ceny własnych kosztów.

Drukarnia D. E. Friedleina

Krakowie ul. Kazimierza W. 95. Tel. 479

zaopatrzona jest w wielką ilość czcionek różnego kroju i maszyny pospieszne. Wykonywa wszelkie roboty w zakres drukarstwa wchodzące: broszury, cenniki, katalogi, cyrkularze, afisze, tabele i t. p. szybko i starannie, po cenach umiarkowanych.



„HUMOR POLSKI“	„BOCIAN“
Dwutygodnik humorystyczny polityczno-satyryczny	Dwutygodnik humorystyczny
Do nabycia w całej Polsce	Do nabycia we wszystkich Ajencyach
Cena egz. 50 Mk.	Cena egz. 80 Marek

Adres Redakcyi i Administracyi

Kraków XV, ulica Kazimierza Wielkiego L. 95.

KOŁDRY puchowe na wełnie i wacie.

Materace włósienne i powijacze dla niemowląt. Poduszki i pierze gęsie

poleca: JEDYNA KATOLICKA PRACOWNIA WYROBÓW POŚCIELOWYCH

M. Matusiewicz, KRAKÓW UL. POSELSKA L. 20.